

Księgi Orbis

Jarzmo smoków



Łukasz Kosakowski

Księgi Orbis

Jarzmo smoków

Copyright © Łukasz Kosakowski

Opracowanie graficzne i projekt okładki:

Barbara Kosakowska

Redakcja i skład:

Bartosz Bednarz, Beata Bednarz

Wydanie pierwsze

Kraków, 2015

ISBN:

978-83-7859-579-3

Księgi Orbis

Jarzmo smoków

Łukasz Kosakowski

Prolog

Nim nastał czas

Mrok i światło. Chmury metalowego pyłu, krople z kamieni, kryształy z ognia. Było tu niemal wszystko, co można sobie wyobrazić, stanowiło zaś jedynie niewielki ułamek tego, co można było zobaczyć. Wszystko wirowało, płynęło, iskrzyło, nagle na parę chwil zamierało, ciemniało, matowiało tylko po to, by zaraz ponownie rozbłysnąć bogactwem barw, niezwykłą feerią i wznowić swój fantastyczny taniec, kierowane wszechobecną, nienazwaną i chaotyczną mocą.

Wszystko to było jednym, wielkim chaosem. Mieszaniną wszelkiej istniejącej materii i czegoś jeszcze... Czegoś, co wprawiało ją w ten szaleńczy ruch, czegoś, co przeszywało ją piorunami, paliło ogniem, mroziło, rozświetlało i pogrążało w mroku. Ta siła — *moc*, zdawała się mieć nieograniczony wpływ na wszystko, co znajdowało się w tym przedziwnym świecie. Była jakby żywa, ale zarazem nie całkiem świadoma samej siebie. Była jednością, ale niejednolitą. Gdyby ktoś umiał się jej przyjrzeć, w jakiś sposób przeniknąć jej istotę, to... Zobaczyłby, że ta moc składa się z malutkich fragmentów, cząsteczek, głosików. Każdy z nich robił coś innego. Jeden rozniecał płomienie. Inny znów je gasił. Kolejny poruszał materią, rozpędzał ją w tym czasie, gdy następny ją łączył i scalał w jedność. W końcu musiał być i taki, który rozdzielał, rozrywał i na powrót rozszczepiał na fragmenty. Wszystkie te siły działały bez ładu jakby same z siebie nie

były w stanie zrobić nic, czego po chwili by nie próbowały zmienić, zniszczyć i bezpowrotnie zapomnieć. Przypominały pszczoły nagle pozbawione ula i królowej.

Pszczoły? Chwila, co to w ogóle są te pszczoły? Nic podobnego tutaj nie widział. Ach! Zaraz, zaraz, ale przecież był tu *on*. On i jemu podobne *dusze*.

One także znajdowały się pod wpływem mocy, która płątała ich myśli, rzucała po całym świecie.

Tak, to pewnie moc nasunęła mu tę dziwną myśl. Zresztą to nieważne. Nic w tym świecie nie miało znaczenia — ani on, ani materia, ani nawet ta tajemnicza siła, a to dlatego, że cały ten świat był jednym wielkim szaleństwem. Był bezcelowy i bezsensowny. Był chaosem.

I gdy tak on unosił się po świecie, niesiony powiewami mocy, mijając inne dusze, tym, co najbardziej mu przeszkadzało, tym, co najbardziej go dręczyło, nie były przesywające go co chwila pioruny ani kule ognia, ani nawet chmury żrących substancji.

Zresztą co to za dziwny pomysł, żeby coś takiego mogło mu w ogóle zaszkodzić... To pewnie znowu wina mocy. Tym, co najbardziej go dręczyło, było... Właśnie tak... To przytłaczające, wszechogarniające poczucie beznadziejności, które zadawało mu katusze tak bolesne, tak przenikliwe, że gorszych, w żaden sposób, nie mógł sobie wyobrazić.

Przelatywał właśnie koło gigantycznej pajęczyny utkanej z żelaza. Przykuła jego uwagę. Zapalała się, to znowu zamarała, by w końcu eksplodować milionem metalowych igiełek. Nagle zauważył coś niezwykłego, poczuł coś wprost niesamowitego.

Wszystkie dusze, razem z nim, zatrzymały się nagle jak na komendę. Nie czuł już szarpiącej nim mocy, choć nadal działała ona na otoczenie. Przez chwilę jeszcze tak trwał

w bezruchu, zastanawiając się, co się dzieje, gdy nagle znów poczuł szarpnięcie. Nie był to jednak natarczywy podryw mocy. Nie, to było coś zupełnie innego, coś jakby zaproszenie. Widział teraz jasno swoją drogę. Wiedział, co musi zrobić. Nagle nadany mu został cel i to napawało go niepomiernym szczęściem, niezwykłym uczuciem radości, którego nie doświadczał już od tak dawna.

Tak jak i inne dusze podążył za cichym wezwaniem. Coś miało się wydarzyć. Coś wielkiego. Im bliżej był celu swojej wędrówki, tym bardziej się w tym utwierdzał.

Podczas tej podróży coś zaczęło się dziać ze światem. Coś niesamowitego... Moc coraz bardziej słabła. Po kilku chwilach nawet materia przestała się jej poddawać. Oglądał on ten świeżo powstający, spokojny świat z niemym zachwytem. Było to wreszcie coś znajomego w tym przedziwnym świecie.

Zaraz... Jak to znajomego? Przecież nigdy nie doświadczył niczego innego poza chaosem. Czyżby jednak moc nie przestała jeszcze działać na jego myśli? Najwyraźniej tak. Właściwie jakby się nad tym zastanowić, to ciągle czuł jej wpływ. Było mu niezwykle gorąco, aż się pocił. Chciał podnieść ręce i obetrzeć pot z czoła, ale...

Przecież to nie tak! To wszystko nie tak! Zaraz! Gdzie podziały się dusze? Co się stało z całym tym światem?! Coraz więcej niepokojących myśli przebijało się do świadomości. Czyżby to moc? Czyżby ona... Nie! To nie mogła być moc. Ale, w takim razie, to...

Och nie! Tylko nie to!

Rozdział I

Miasto-klatka

Tamara z niepokojem spoglądała na krzyczącego przez sen chłopca. Już miała zerwać się do niego, ale uprzedziła ją siedząca nieopodal malca Kalderia, jej córka. Dziewczyna szybko uspokoiła dziecko, budząc je przy okazji.

Chłopiec był chory, i to poważnie. Ludzie nazywali tę chorobę plamistym morem. Pojawiała się ona znienacka, u pojedynczych osób. Objawami były gorączka i podwyższone ciśnienie, co powodowało ból głowy, oraz pęknięcie najdrobniejszych naczyń krwionośnych. Nie trzeba było długo czekać, aż na skórze zaczęły pojawiać się pierwsze, widoczne oznaki choroby, piętna zbliżającej się śmierci: najpierw czerwone, później sine, a na końcu żółto-zielone.

Kalderia szybko obejrzała chorego. Na szczęście nie wystąpiły jeszcze objawy końcowe — krwawienie z płuc i żołądka, i obezwładniający ból głowy. Stan Kirka, chorego chłopca, nie zmienił się od pięciu dni, gdy go tu przyniesiono. Był to dobry znak. Choroba powinna teraz zacząć się cofać. Pozostało już tylko podawać chłopcu odpowiednie lekarstwa i czekać na jego pełne wyzdrowienie. To znaczy, że leczenie podjęto na czas.

Młoda kobieta rozejrzała się po pomieszczeniu. Była to całkiem obszerna, graniasta sala wykuta w pomarańczowym piaskowcu. Miała około ośmiu metrów szerokości, sześciu długości i niemal dwa wysokości. Sufit wspierały cztery

grube, drewniane bale. Poza tym znajdowały się tutaj tylko dwie szafki i osiem sienników, oddzielonych od siebie skórzanymi zasłonami, zawieszonymi na kościanych stelażach. Podobne zasłony wisiały w topornie wyciosanych drzwiach, wychodzących na ulicę miasta Har'Shamats.

Oprócz Tamary i Kalderii w pomieszczeniu siedziała jeszcze grupka dzieci, skupiona wokół starszej kobiety. Tamara była znachorką, Kalderia zaś jej uczennicą. Poza leczeniem chorób i ran ich najważniejszym zadaniem było przekazywanie tradycji. Tamara opowiadała właśnie dzieciom legendę o powstaniu świata, gdy nagle chory Kirk zaczął przeraźliwie krzyżeć przez sen. Obawiała się najgorszego — że chłopak krzyżeć z bólu, wywoływanego przez ostatnie stadium choroby. Na szczęście był to tylko zły sen. Znachorka uspokoiła się, gdy zobaczyła, z jaką wprawą jej uczennica zajęła się małym pacjentem.

Były do siebie bardzo podobne, już choćby z wyglądu. Obie szczupłe i średniowysokie, mierzyły około sto siedemdziesiąt centymetrów, chociaż Kalderia przerosła już matkę. Twarze miały owalne, o delikatnych rysach i niewielkich podbródkach, upstrzone tu i ówdzie piegami. Swoje rude, puszyste włosy Kalderia nosiła związane w długi, gruby warkocz, jej matka natomiast ścinała je na wysokości karku i pozostawiała rozpuszczone. Najbardziej jednak obie kobiety różniły oczy — Tamary były duże i szarobłękitne, zaś jej córki brązowe jak kasztany i wąskie.

Matka miała trzydzieści pięć lat. Czas ją jednak wyjątkowo oszczędzał i wyglądała znacznie młodziej niż jej rówieśniczki. Jej córka miesiąc temu skończyła siedemnaście lat. Szybko dojrzała, dlatego też, gdyby się ich nie znało, można by omyłkowo stwierdzić, że kobiety są siostrami, zwłaszcza, gdy chodziły ubrane w swoje identyczne, długie, kremowe szaty

bez rękawów.

Również z charakteru Kalderia wdała się w matkę: obie były uparte, często też zadzierały nosa. Z drugiej strony były sumienne, pracowite i opiekuńcze.

Zamyślona matka została nagle przywrócona do rzeczywistości przez jedno z dzieci.

— Pani Tamaro! — wykrzyknął chłopiec. — Czy może pani dokończyć opowieść? Bardzo prosimy!

— Och tak! Oczywiście, moje dziecko. Pozwól mi tylko zebrać myśli. Na czym to my skończyliśmy? Już wiem — znachorka na chwilę przerwała, przełknęła ślinę i wbiła wzrok w bliżej nieokreślony punkt nad głowami swoich małych słuchaczy. To pomagało jej skoncentrować się.

— Tak też, jak już mówiłam, przed nastaniem czasu i powstaniem świata był Wielki Chaos, czyli mieszanina materii poruszanej i zmienianej przez moc, po którym poruszały się również oszałamiane przez nią dusze. Nie wiemy dokładnie jak, ani dlaczego po pewnym czasie, o ile możemy mówić, że istniał wtedy czas, coś się zmieniło. Moc słabła, a wraz z jej postępującym zanikaniem i rozproszeniem nastawał coraz większy porządek. Stopniowo materia zaczęła łączyć się w coraz większe twory, te zaś w jeszcze większe i coraz bardziej skomplikowane i wymyślne, aż w końcu — Orbis — nasz świat, stał się taki, jakim go obecnie znamy i widzimy.

Oczywiście to wszystko jest przedstawione w wielkim uproszczeniu. Ani ja, ani żaden inny człowiek na świecie nie potrafi dokładnie opisać skomplikowanego procesu powstawania świata. To po prostu ponad nasze zdolności pojmowania. Wiemy jednak, że gdy Orbis już był uformowany, dusze, mieszając się z materią, przybrały znacznie bardziej namacalną formę — przekształciły się w żywe stworzenia, w skomplikowane układy życia — w ciała.

Gdy ktoś z nas umiera jego dusza się ulatnia, odchodząc do „innego” miejsca, gdzie odpoczywa od trudów życia, lub cierpi za błędy, które popełniła podczas swojego bytowania w świecie materialnym. To oddzielenie od ciała niekoniecznie trwa wiecznie, ale może trwać bardzo długo. Być może niektóre dusze nigdy nie wrócą już do naszego świata.

— Pani Tamaro! Dlaczego nic z tego nie pamiętamy — spytała sześciolatnia dziewczynka, o bujnych, miedzianych włosach, które z ogromną starannością były dzisiaj spięte w dwa warkocze przewiązane zieloną wstążką.

— Aby zachować równowagę psychiczną dziecko. Nasze umysły nie wytrzymałyby tych wszystkich miraży przeszłości, wizji powstałych jeszcze przed powstaniem Orbis, będących synergią kilku naszych wcześniejszych żywotów. Być może nie zawsze żyłaś jako człowiek. Nie sądzisz, że to wszystko byłoby straszliwie trudne do pojęcia?

Do tego pomyśl jeszcze, że miałabyś w pamięci wszystkie swoje smutki i radości, błędy i sukcesy, miłości i nienawiści. Nie byłoby łatwo ci zerwać z przeszłością, z jej obrazami, przebijającymi się bezlitośnie do obecnej świadomości. Zapamiętaj kochana: rozpamiętywanie się w tym co było i minęło bezpowrotnie może być zgubne. Jeśli to jeszcze do ciebie nie przemawia, to pomyśl, że może w którymś z poprzednich żywotów spotkała cię wielka krzywda, tak ogromna, że odebrałaś sobie z jej powodu życie. Czy chciałabyś, aby to wszystko prześladowało cię, przez wszystkie twoje przyszłe żywota, aż po sam kres, gdy twa iskra życia przygaśnie już na zawsze?

— N... Nie, pani Tamaro, na pewno nie — odpowiedziała poruszona dziewczynka a w jej oczach dało się dostrzec przeżalenie.

Tamara zastanawiała się przez chwile, czy nie za bardzo

ją przestraszyła, ale kolejne dziecko, tym razem chłopiec nie dał jej czasu, aby to przemyśleć.

— Proszę pani, a ja słyszałem, że niektórzy pamiętają co nieco ze swoich poprzednich wcieleń — zagał chłopiec z trochę za bardzo odstającymi uszami i rudymi włosami, spoglądając na Tamarę. W jego oczach widać było ciekawość i szacunek dla znachorki. Tamarę ogarnęło miłe uczucie uznania.

— Owszem, to prawda, chociaż zdarza się to niezwykle rzadko, a wizje są niejasne i często wprowadzają tylko zamęt w umysłach tych biednych istot — odpowiedziała na pytanie starsza kobieta.

To jednak wyraźnie nie zaspokoilo ciekawości dzieci:

— Pani Tamaro! Na początku wszystkie dusze były sobie równe, prawda? — spytało kolejne dziecko.

— Tak... Można tak powiedzieć, kochanie... — zaczęła powoli Tamara, przewidując w jakim kierunku zmierza rozmowa.

— Dlaczego teraz tak nie jest? — kontynuowało dziecko.

Znachorka zakryła twarz ręką, westchnęła zrezygnowana i kontynuowała cichym i zgaszonym głosem, jakby się obawiała, że ktoś niepożądany może usłyszeć to, o czym właśnie rozmawiają.

— Bardzo szybko okazało się, że dusze różniły się między sobą. Gdy łączyły się z materią, powstawały bardzo różne istoty. Były to zarówno zwierzęta, jak i istoty rozumne, takie jak my, krasnoludy, elfy i niziołki. Do Orbis przeniknęła też w jakiś sposób moc. Tym razem jednak nie stała się ona szaloną, niszczącą siłą. W niezrozumiały dla nas sposób udało jej się połączyć ze światem i zamieszkującymi go istotami, częściowo je zmieniając, ale także poddając się pod ich kontrolę. Tak powstała magia i niezwykle magiczne istoty...

— Znachorka zaczęła mówić już zupełnie bez przekonania. Nawet nie byłaby w stanie policzyć, ile to już razy musiała odpowiadać na podobne pytania.

— Najpotężniejszymi i najmądrzejszymi z nich były, i są do tej pory, smoki. Dlatego właśnie one sprawują teraz pieczę nad wszystkimi ludami.

— Słyszałem, że w lasach żyją elfy, które uciekły od smoków...

— Tak, to prawda.

— A gdzie żyją też wolni ludzie...

— Tak... — Tamara walczyła ze sobą jak tylko umiała. Jej niepokorna i dumna natura cierpiała straszliwie, ale nie mogła przecież powiedzieć, że są ludy, które nie żyją pod jarzmem smoków. Wolność nie jest nam dana, nie dla nas przywilej decydowania o swoim losie. Jak ma powiedzieć dzieciom, przed którymi jeszcze całe życie, by pogodziły się z losem, że nim zdążą w pełni dorosnąć, to wspaniałomyślni smoczy władcy już zdecydują o ich przyszłości: posła na roboty albo do rozplodu, albo na arenę, albo... Albo do rzeźni.

Co miałabym im powiedzieć?! Mój los jest nader łagodny. Wasz prawie na pewno będzie dużo gorszy! Tamara nie miała serca odbierać im, tak bezwzględnie, wszystkich marzeń o wolności, ostatniego oddechu nadziei...

Zamiast tego musiała powiedzieć, o czym zdawała sobie doskonale sprawę, starą, wypracowaną formułę, dla ich dobra, dla dobra nas wszystkich...

— Tak, ale sprzeciwiają się oni porządkowi świata. Bez mądrości smoków pogrążają się tylko w barbarzyństwie — kobieta spojrzała na swoich słuchaczy. Żadne z dzieci nie wyglądało na przekonane. Nastąpiła długa, posępna cisza. Tamara szykowała się na kolejne pytania, na które nie będzie

mogła udzielić im odpowiedzi. Widząc to, młoda Kalderia odstała od chorego chłopca i zbliżyła się do reszty dzieci.

— Dobrze już, czas wracać do domów. Wasze mamy pewnie czekają na was z obiadem. Wystarczy tych pytań na dzisiaj. — Po tych słowach zebrana w sali gawiedz opuściła dom znachorki. Część z nich radośnie pożegnała się i wybiegła z domu, inne wychodziły w ciszy i zamyśleniu. Młoda znachorka skarciła się w myślach. — Racja, ile z nich może zastać w domu i matkę, i obiad? — Było już za późno, by próbować się poprawić. Gdy ostatnie małe, brudne od pomarańczowego pyłu stopy zniknęły za progiem, Tamara zwróciła się do swojej córki.

— Dziękuję ci. Co podałaś chłopcu?

— Napar z białej wierzby. A teraz szukam wywaru z czerwonych jagód.

— Na krwotoki?

— Tak, wydaje mi się, że świeże plamy na ciele ciągle się pojawiają.

— To prawda, ale zwykły krwawnik wystarczy. Zapomniałaś, że czerwona jagoda ma tak mocne działanie, że biedak mógłby dostać od tego zakrzepów.

— No tak, nie pomyślałam o tym.

— Na szczęście nic się nie stało, ale na przyszłość pamiętaj — magiczne rośliny leczące stosujemy na poszlachtowanych gladiatorów i podobne przypadki. Ach tak, co my tu mamy. Oto i twój krwawnik.

Matka i córka zaczęły uwijać się przy chorym. Pracowały zgodnie, w milczeniu zmieniając zimne okłady, odmierzając lekarstwa dla chłopca.

Kerr stał w cienistym zaułku, oparty o ścianę lichej chaty. Z ulicy dochodził coraz głośniejszy hałas. Har'Shamats dopiero budziło się do życia, chociaż minęło już południe. Wszystko przez smoki. Cholerne gady spały długo i nie lubiły, jak ktoś im przeszkadzał. Kerr pamiętał, jak nie raz potrafiły spuścić z nieba grad, ogień i pioruny, żeby tylko uspokoić pijanych awanturników, rozwrzeszczane przekupki, a nawet za głośno bawiące się dzieci — słowem każdego, kto ośmielił się przeszkadzać im w drzemce. Uspokoić, często już na zawsze.

Czy naprawdę na wysokości, na której znajdowały się ich gniazda, to wszystko mogło im przeszkadzać? Pewnie, gdyby jakiś ptak wleciał do ich gniazd i zaczął śpiewać, natychmiast by go spopielili. Nieważne. Trzeba było się wreszcie ruszyć z miejsca.

Kerr musiał zapracować na niezbędne do życia produkty, i kto wie, może znowu uda mu się odłożyć trochę miedzi na coś mocniejszego.

Gdy tylko wyszedł na ulice miasta, jego i tak od samego rana zły humor, jeszcze się dodatkowo pogorszył. Nie znosił tego miasta, choć przecież to jego dom i najpewniej zawsze już nim pozostanie.

Har'Shamats było zbudowane na zboczach skalistej kotliny. Budynki i ulice zajmowały wypłaszczenia terenu tworzące sześć pierścieni na różnych poziomach kotliny. Żaden z nich nie dochodził do jej krawędzi, aby utrudnić ludziom ucieczkę z miasta. Gdyby jednak ktoś spróbował, napotkałby na swojej drodze jeszcze kilkumetrowy, kamienny mur, bez wrót i baszt, po którym przechadzali się smoczy wartownicy.

Pierwsze dwa pierścienie zajmowało wyższe miasto.

Mieszkali tam ludzie „bardziej przydatni”, czyli znachorzy, medycy, jubilerzy, złotnicy i inni, w tym także lepsi gladiatorzy, którzy w jakiś sposób byli smokom potrzebni. Wszyscy znajdowali się pod ich protekcją. Ludzie „potrzebni i przydatni” nie stanowili jednak licznej grupy. Ścieżka była na tych poziomach dość wąska, dlatego dla oszczędności miejsca domy w całości, lub częściowo były wryte w skałę.

Kolejne cztery poziomy zajmowało niższe miasto. Mieszkali tam ludzie, którzy mieli jedynie wydawać na świat kolejne pokolenia, oraz w razie potrzeby służyć smokom jako... Pożywienie. Niektóre gady gustowały w ludzkim mięsie, uznawały je wręcz za wielki przysmak.

Ludzi takich były całe rzesze, dlatego niższe miasto zajmowało aż cztery kręgi, szerokie na dwadzieścia metrów na wysokości trzeciego i ponad pięćdziesiąt metrów na wysokości szóstego pierścienia. Prawie cała ta część była zastawiona różnymi lepiankami i chatkami z drewna. Od razu dało się dostrzec różnicę w poziomie życia tych dwóch, powiedzmy sobie szczerze, kast społecznych. W sytuacji, gdy jedni mogli sobie pozwolić na posiadanie własnego domu i życie w miarę znośnych warunkach, dla drugich wariantem była tylko obskurna, zbudowana z gliny i znalezionych gałęzi chatka. Żyjąc w takim tłumie, nie byłeś pewny, czy wracając do swojej samotni, nie znajdziesz w niej dzikiego lokatora, moczymordy, który zatłucze cię na śmierć w odwecie za próbę jego wyrzucenia, zaszlachtuje czy w najlepszym wypadku — po prostu zbluzga. Ludzie tracili życie w walce o lepiankę. Każdy chciał, ba, każdy potrzebował swojego miejsca.

Wokół ogrodzonej niewysokim murkiem krawędzi, wiła się główna ulica, na którą wyszedł teraz Kerr. Nie była ona jeszcze zapełniona, choć wyległo na nią już tyle ludzi, że Kerr

mógł mieszać się z tłumem i nie rzucać w oczy.

Dołączył do tłumu brudnych, ubranych w krótkie, wyświechtane, płócienne lub skórzane ubrania ludzi, biegnących od domu do domu, od straganu do straganu, tak jak Kerr, starających się zarobić chociażby marny grosz, niezbędny do przeżycia. Wielu po prostu wałęsało się bez konkretnego celu, byle tylko nie wyglądać na zbędnych. Tacy przecież bardzo szybko trafiali do ubojni.

Nie znosił tych wszystkich ludzi, zarówno z wyższego, jak i z niższego miasta. Tutaj każdy człowiek łączył się w jednakową szarą masę, bezmyślny tłum i hołotę, myślący tylko o jednym: jak przeżyć kolejny dzień, nie narażając się przy tym swoim smoczym panom. Ci z wyższego miasta byli niewiele lepsi. Mieli jednak swój fach, na którym, trzeba przyznać, dobrze się znali. Przez to też stawali się dla smoków cenni.

Właściwie Kerr też posiadał swój fach, na którym znał się dobrze, jak na niczym innym. Kerr był przemytnikiem i to profesjonalnym, bardzo dobrym i nieuchwytnym. Właściwie, należałoby jasno powiedzieć, że nie ma czegoś takiego, jak nieprofesjonalny przemytnik. Wszyscy, którzy popełnili błąd byli z miejsca ugotowani... Dosłownie.

Kerr był dumny ze swojego zawodu. Zyski były całkiem wysokie. Zarabiał zdecydowanie więcej niż zwykły handlarz, których całe rzesze rozstawiały się ze swoimi kramami po całym niższym mieście. Jednak gdyby tylko o to chodziło, już dawno by zrezygnował. Ryzyko, które wiązało się z tym zawodem było wysokie, zbyt wysokie. Uważał jednak, że to go stawiało ponad wszystkimi tymi pchlarzami, potulnymi jak baranki, prowadzonymi na rzeź. Była to forma buntu, walki, sprzeciwu. Był przekonany, że skoro walczy, nie jest niewolnikiem. Warto było ryzykować, by tylko móc

się przez chwilę poczuć wolnym. Właśnie dlatego przemycał skąd się tylko dało co bardziej luksusowe przedmioty, które zostały zakazane przez smoki, stale ryzykując przy tym życie. Nie motywowało go współczucie i chęć pomocy pokrzywdzonym rodakom. Gardził nimi, ale smoków nienawdził bardziej. Gdy towary nie rozchodziły się, to tak, jakby przegrywał bitwę. Zdarzało się, że musiał poderżnąć gardło komuś kłopotliwemu. Niektórzy przecież nie potrafią trzymać języka za zębami, inni zaś próbowali go okraść. Cóż, taki zawód. Ryzyko wysokie, czasami nawet aż nazbyt.

Wszystko to przysparzało mu sporo kłopotów, a jego praca i bez tego nie była przecież łatwa. Wielkim problemem był dla Kerra już sam jego wygląd. Urodę odziedziczył w głównej mierze po matce, przez co rzucał się w oczy na tle innych wysokich, barczystych, mocno owłosionych mężczyzn. Kerr miał około sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu — mało, jak na mężczyznę. Jego skóra była gładka i jasna, twarz pociągła, o delikatnych rysach, nos mały i kształtny, usta nie-duże, ale wydatne. Kruczoczarne, proste, lekko tłuste włosy obcinał na wysokości barków. Nie był imponującej postury. Patrząc na niego można by powiedzieć, że był raczej słaby. Nie jest to jednak prawda. Choć w barkach był wąski, to ręce, a zwłaszcza dłonie i nadgarstki miał zaskakująco silne.

Niektórzy omylnie myśleli, że ten nieco kobiecy wygląd jest efektem umyślnego działania.

W Har'Shamats była nieliczna grupa kobiet i mężczyzn o niecodziennych upodobaniach względem partnerów. Kilku z nich popełniło straszny błąd, biorąc Kerra za jednego z nich. Zależnie od jego humoru kończyli z wybitymi zębami, skręconymi kończynami, rozprutymi brzuchami, a czasem pozbawieni bardzo ważnego organu. Co tu dużo mówić — Kerr nie miał skrupułów. Bez zastanowienia, impulsywnie

i bezwzględnie rozprawiał się z amantami.

— Ach, nareszcie! — pomyślał Kerr, gdy zobaczył kobietę stojącą przy niczym nie wyróżniającym się straganie z ubraniami. Podszedł do niej i zaczął oglądać rozstawione tam towary. Gdy tłum wokół kramu przerzedził się trochę, szybko podał sprzedawczyni skórzaną torbę. Ta popatrzyła do środka, uśmiechnęła się, po czym dała Kerrowi zwitek skór.

— Oto twoje zamówienie.

Kerr odebrał paczuszkę, po czym bez słowa odszedł. Kobieta zamówiła u niego butelkę alkoholu produkowanego przez elfy. W zamian otrzymał dobrą, grubą, wyprawioną skórę, oraz zawinięte w nią dziesięć sztuk miedzi. Handel wymienny w Har'Shamats był wśród ludzi bardzo rozpowszechniony. Smoki zabierały dla siebie złoto i srebro, ludziom zostawiając tańsze metale.

Poza tym na targach były dostępne tylko najpospolitsze towary — tkaniny, nici i skóry do szycia i naprawy ubrań, a do jedzenia kasza, smalec, liche warzywa, niekiedy zioła, ser i chleb. Czasami pojawiały się też mięso, kwas chlebowy i piwo, które traktowano jako towary luksusowe.

Har'Shamats nie byłoby w stanie wyżywić się samodzielnie — tylko w kilku miejscach, tam gdzie pozwoliła na to gleba, założono ogródki warzywne i owocowe. Większość pożywienia, jak i innych towarów spływało do miasta z paru okolicznych rolniczych enklaw. Były one o wiele mniej zaludnione niż Har'Shamats i zajmowały się jedynie produkcją dóbr, natomiast praktycznie cała obróbka prowadzona była już w mieście. W zamian za pracę smoki oddawały część towarów mieszkańcom. Wiele trafiało w ręce specjalistów z wyższego miasta, ale proste prace, a było ich niemało, powierzano mieszkańcom niższych kręgów. Ci drudzy znajdowali też zatrudnienie u bardziej zamożnych miesz-

kańców jako służący, pomocnicy lub sprzedając ich towary na przydrożnych kramach.

Mężczyzna ruszył dalej główną ulicą, ciągnącą się wzdłuż krawędzi szóstego pierścienia. Po jakimś czasie jego uwagę przyciągnęły odgłosy walki dobiegającej z dołu, z areny znajdującej się na samym dnie kotliny, w której zbudowano Har'Shamats.

Przystanął na chwile przy krawędzi i zaczął przyglądać się fechtującym w dole mężczyznom i kobietom. Potężnie zbudowani, nasmarowani oliwą gladiatorzy nawet z tej odległości wyglądali jak monumentalne posągi, wykute, jak ich ryzsztunek, z brązu.

— Rzeczywiście są pomnikami — myślał głośno przemytnik — ludzkiego poniżenia. Kerr zaśmiał się w głębi duszy ze swojego wyszukanego porównania.

Ze wszystkich ludzi, to gladiatorów właśnie Kerr nienawidził najbardziej. Byli dla niego najgorszym bydłem, ponieważ byli ulubioną zabawką smoków. Szkolili się i walczyli tylko po to, żeby pewnego dnia, na rozkaz swoich panów zwrócić się przeciwko sobie. A gdy gladiator walczył z gladiatorem, to tylko na śmierć. Pokonany stawał się „honorowym gościem”, na uroczystej kolacji smoków po igrzyskach.

Oczywiście igrzyska tego typu nie zdarzały się codziennie. W ogóle gladiatorzy nie walczyli na co dzień. Co tydzień odbywały się krótkie walki ze słabymi bestiami, tak dla zaspokojenia publiki. Były to zwykle okoliczne zwierzęta, głodzone i drażnione przed walką dla pobudzenia ich agresji — zwłaszcza wilki i dziki. Zdarzały się też między innymi niewielkie, zielone humanoidy, nazywane goblinami czy ponad metrowej długości mackowate robaki, które znane są z żerowania na odpadkach zrzuconych poza miasto. Rzadko który gladiator ginął podczas takich potyczek.

Co dwa miesiące organizowano walki z poważniejszymi przeciwnikami. Pojawiały się wtedy na arenie potężne niedźwiedzie, znieawidzeni przez ludzi orkowie czy drake'i — zaprzysiężeni wrogowie smoków.

Kerr pamięta z dzieciństwa dziwaczne monstrum o ciele ogromnego kota i, co nietypowe — trzech, zupełnie odmiennych głowach, które podczas walki buchając ogniem spaliło twarz walczącej z nim gladiatorki. Jej martwe, okaleczone oblicze prześladowało go w snach wiele nocy. Niejeden wojownik tracił podczas tych walk życie lub zdrowie.

Ostatecznie co około dziesięć miesięcy organizowano Wielkie Igrzyska, podczas których gladiatorzy walczyli między sobą. Trwały one przeważnie tydzień, a każdego dnia odbywała się walka co najmniej pary gladiatorów. Śmierć zbierała wtedy potworne żniwo. Krwawa rozrywka dla smoków i przy okazji całego miasta. Karmazynowa rzeka krwi spływała po arenie. Kolejni gladiatorzy padali bez tchu, z odrąbaną głową, kończyną, przepołowieni potężnym ciosem swojego przeciwnika.

Nagle do Kerra podszedł jakiś krępy mężczyzna, strasznie zarośnięty i w potarganym ubraniu. Szybko sięgnął do sakiewki i przystanął obok Kerra. Tak jak on oparł się o mur i zaczął obserwować trenujących gladiatorów. Niepostrzeżenie z ręki do ręki przeszły towary. Postali tak jeszcze chwile, po czym przemytnik ruszył dalej w drogę. Mężczyzna regularnie zamawiał u niego specyficzne zioła do palenia.

Przemytnik zszedł z głównej drogi. Skierował się w zwykłą, boczną uliczkę, by po chwili zniknąć w płataninie zaśmieconych zaułków. Była to najgęściej zaludniona i zabudowana część miasta. Tutaj odbywała się większość nielegalnych transakcji. Mury domów i rozpięte między nimi szmaty całkowicie zasłaniały widok smoczym wartownikom, zarówno tym z murów,

jak i z gniazd. Nie oznacza to, że było tu bezpiecznie. Rabunki, zabójstwa i gwałty to w tym miejscu codzienność. Nawet mieszkańcy tych zaułków rzadko chodzili po nich samotnie. Kerr jednak umiał się bronić i nie miał żadnych oporów przed użyciem broni. Nie było to dla niego nowością. Przy pasie miał przypięty ciężki, brązowy nóż bojowy, a za rozpiętą tuniką chował długi, wąski żelazny sztylet.

Przemytnik minął obojętnie śmierdzącego alkoholem trupa z poderżniętym gardłem i zaułek, z którego dochodziły urywane kobiece krzyki. Skręcił w prawo i stanął przed małą lepianką, niczym nieróżniącą się od innych, poza tym, że leżała przed nią kupa wyjątkowo śmierdzącego, zjełczałego masła. Kerr zatkał sobie nos, wstrzymał oddech, opanował torsje, po czym zapukał we framugę drzwi.

Po chwili tłusta szmata zasłaniająca wejście została odsunięta na bok i w progu stanął mężczyzna ubrany jedynie w długie, wyświechtane, skórzane spodnie. Nie miał nawet butów na nogach, które były ciemnopomarańczowe od pyłu z ulic Har'Shamats. Trzeba przyznać, że chociaż na pierwszy rzut oka mężczyzna był przy kości, to był też dobrze umięśniony. Nad zachodzącym na spodnie brzuchem zaczynała się szeroka klatka piersiowa, na której skrzyżował grube ramiona. Szeroką, pulchną twarz niemal całkowicie porastała pokręcona, krótka, brunatna broda z wąsami i bokobrodami. Mężczyzna miał dość wysokie czoło, ale ten drobny ubytek uzupełniały krzaczaste, szerokie brwi, wygięte teraz pytająco. Kędzierzawe włosy porastały też jego brzuch, dłonie, ramiona, klatkę piersiową, nogi i stopy.

Wszystko to w połączeniu z charakterystycznym sposobem poruszania się i nawykiem do mruczenia do siebie samego upodabniało mężczyznę do niedźwiedzia. Nic dziwnego, że gdy pewien znajomy łowca raz go tak nazwał,

przezwisko przyłgnęło do niego na stałe, zastępując mu imię, które niewiele osób już używało, a nawet pamiętało.

Choć Niedźwiedź śmierdział, a całe jego „futro” było do obrzydzenia brudne, to jednak w jego włochatej twarzy, w spojrzeniu jego kasztanowych oczu było coś, co nie pozwalało go nie lubić. Biła od niego prostota, szczerłość, która kazała zapomnieć o jego powierzchowności i... Po prostu zaprzyjaźnić się. Nawet Kerr lubił Niedźwiedzia. Co więcej należał on do nielicznego grona osób, które ten darzył szacunkiem.

— He? O co chodzi? Chcesz trochę masła? — spytał obojętnie kudłacz.

— Daj spokój i wpuść mnie do środka! Strasznie tu śmierdzi, a ja mam dziś wyjątkowo zły humor — odfukną mu Kerr. Niedźwiedź poczekał jeszcze chwilę, po czym wybuchnął gromkim, serdecznym śmiechem i przepuścił przemytnika przez drzwi.

— Nie pamiętam dnia, w którym miałaś dobry humor, przyjacielu. Wejdz, wejdz! Moja Mercia właśnie miała przygotować coś do jedzenia.

Kerr wszedł do środka. Na początku przechodziło się przez coś w rodzaju sieni. Miała ona wymiary półtora na półtora metra, a jedyną rzeczą, jaka tu się znajdowała była beczka wypełniona jakimiś wonnościami, które na celu miały maskować smród z zewnątrz. Dodatkowo oba wejścia do tego małego pomieszczenia zastawione były płytami ze zbitych, sosnowych desek, co ograniczało nieco przenikanie fetoru do głównego pomieszczenia. Zabezpieczenie niespecjalnie skuteczne, ale zawsze coś. Poza tym, z pewnych względów Niedźwiedziowi właśnie chodziło o to, aby w jego domu śmierdziało.

— Dobra, Kerr. Pokaż, co nam dziś przyniosłeś.

Przemytnik rozsiadł się na pieńku, który służył za ta-

boret i zaczął ściągać buty. Przed nim, na drugim pieńku usiadł Niedźwiedź. Poza dwoma podobnymi stołkami w kwadratowym budynku znajdowały się tylko stół ze sporego, płaskiego głazu, jeden duży siennik, kilka półek leżących na ziemi i maselniczka. Formalnie Niedźwiedź z żoną zajmowali się przetwórstwem mleka. W rzeczywistości był on współnikiem i pośrednikiem Kerra.

— Mam trochę ziół do palenia — przemysłnik majstrował kilka chwil przy swoich butach i rozpiął podeszwy. Drewniane podeszwy, nie rzadkość w Har'Shamats, były bardzo wysokie, a w środku wydrążone tak, że można było w nich zmieścić nieco ponad garść przedmiotów. Od boku natomiast były spinane paliczkami, by, nie otwierały się, gdy właściciel sobie tego nie życzy. Kerr wysypał towar na stół, złożył z powrotem podeszwy i ubrał buty. Gdy jego współnik przyglądał się przyniesionym przez niego rzeczom, on sięgnął za koszule i wyciągnął stamtąd swój sztylet, oraz sporą, brudną, szmacianą lalkę.

— Hm? A co to? — spytał kudłacz, wskazując na gałgan, trzymany przez Kerra, na co ten dziwnie się uśmiechnął.

— To? To coś specjalnego — bez dalszych ceregieli Kerr rozciął lalkę. Wydobył z niej trochę pluszu, który niedbale rzucił na stół, oraz szklaną butelkę, wypełnioną żółtawym płynem, którą ostrożnie podał Niedźwiedziowi. Ten natomiast najpierw zaczął przyglądać się jej oniemiałym wzrokiem, a potem łapczywie, ale i z nabożną niemal ostrożnością, odebrał ją, ciągle chytrze uśmiechającemu się Kerrowi. Odkorkował i powąchał wydobywającą się z niej wspaniałą aromat.

— Toż to przepalanka krasnoludów! Skąd tyś, u licha, to wytrzasnął?

— Już mówiłem. Jeden znajomy szczur przyniósł mi to zza murów — odpowiedział jeszcze szerzej uśmiechając się Kerr.

— Ucałuj ode mnie tego szczura. Przepalanka krasnoludów... Tak, to zostaje ze mną — stwierdził Niedźwiedź. Uśmiechnął się także, a w jego oczach dało się dostrzec błysk podniecenia i ogromnego zadowolenia.

— Przepalanka krasnoludów — powtórzył raz jeszcze, jakby sam nie mógł uwierzyć, co właśnie trzyma w swoich wielkich łapskach.

Ponieważ niewielu ludzi opuszczalo mury miasta, przemynicy musieli niezle napracowac się, żeby w ogóle zdobyć kontakt do kogoś z dostępem do towarów z zewnątrz. Zwykle byli to łowcy, oraz rolnicy z enklaw dookoła Har'Shamants. Nierzadko w szemrany handel włączali się też elfi strażnicy i służący, których smoki trzymają w swoich legowiskach. A nawet same smoki. Kerr miał jednak kontakt, jakim nie mógł pochwalić się nikt inny.

W pewnym momencie do rozmawiających mężczyzn podeszła dobrze zbudowana, wysoka kobieta, o owalnej twarzy i długich, brązowych włosach. Ubrana była w długą tunikę z lekkiej wełny. Była to Mercia — kobieta Niedźwiedzia. Położyła na stole dwie miski z kaszą i polewką, chleb, maselnickę, której zawartość zdawała się być w pełni zdatna do spożycia i dwa drewniane kufle ze słabym piwem. Potem bez słowa, cicho próbowała odejść na bok, ale włochaty mężczyzna zatrzymał ją, obejmując wielkim ramieniem w pasie.

— Mercia, moja kochana, przysiądź się i zjedz z nami!

— Pójdę w takim razie po moje jedzenie — powiedziała cicho i ulegle.

— Ależ nie, kochanie. Ja je przyniosę, a ty rozsiądź się.

Kobieta wyjąkała pod nosem coś typu „tak”, po czym usiadła przy stole. Kerr nie znosił jej tak bardzo, jak bardzo szanował Niedźwiedzia. Nigdy z nią nie rozmawiał,

ale i tak z jej zachowania potrafił wywnioskować bez trudu jej przeszłość. Rodzina kobiety musiała wychowywać ją na „dobrą partnerkę”. Uczyli jak pracować, sprzątać, gotować, łątać ubrania i zadowalać mężczyzn na wszystkie inne sposoby. Najważniejszą częścią treningu, a może — pomyślał Kerr — raczej tresury było wpajanie kobiecie posłuszeństwa wobec jej pana. Później taka kukielka kobiety była oddawana za grube pieniądze.

Podobnych przypadków było całkiem sporo. Mercia miała jednak szczęście trafić do Niedźwiedzia. Widać było, że obchodzi się on z kobietą wielce delikatnie i szczerze. Mercia chodziła zdrowa i w przeciwieństwie do partnera czysta, dobrze ubrana, a na jej ciele nigdzie nie było widać siniaków świadczących o tym, że kobieta była kiedykolwiek bita. Pomimo tego ciągle zachowywała się tak, jakby każdy, nawet najmniejszy jej gest zależał od kogoś innego.

Jakież to było beznadziejnie głupie! Ot tak, po prostu godzić się na zły los. Ba! Gdyby to jeszcze o to chodziło. Ale ona uciekała od prawdziwego życia w jakiś marazm. Koszmar, który sama sobie tworzyła. Kerr nie potrafił znaleźć w tym żadnego sensu.

Gdy tak siedzieli, czekając, aż Niedźwiedź wróci z jeźdzeniem, Mercia odwróciła nieśmiało wzrok od podłogi i zwróciła go na Kerra. Płochliwe spojrzenie jej dużych, jasnobrązowych oczu spotkało się z pogardliwym, przesywającym wzrokiem wąskich, ciemnych oczu Kerra.

Zadrżała, ale wytrzymała to spojrzenie. Dopiero, gdy Niedźwiedź postawił przed nią jej jeźdzenie, odwróciła wzrok i wbiła go w ziemię. Gdyby nie to, że Kerr podpierał głowę na ręce tak, że dłonią zasłaniał usta, każdy mógłby bez problemu zauważyć złośliwy półuśmiech, który wykwitł na jego twarzy. Mercia wyglądała, jakby właśnie została przyłapana

na rozbieraniu go. To takie żałosne. Naprawdę Niedźwiedź mógł trafić lepiej z wyborem partnerki.

— Jedz, Kerr! To jest naprawdę lepsze od tego, co podają w karczmie. I do tego za darmo!

— Och, tak. Zamyśliłem się — odpowiedział przemysłnik, zabierając się za jedzenie. Już nawet nie przeszkadzał mu smród, który wewnątrz domu był znacznie słabszy, choć nadal wyczuwalny. — No, więc ile za to dajesz?

— Hmm... Co powiesz na pięćdziesiąt sztuk i to? — Niedźwiedź wyciągnął z kieszeni małą, drewnianą tabliczkę i podał ją przemysłnikowi. Ten obejrzał ją dokładnie, a potem rozbawiony odrzekł:

— Co? Przepustka na Wielkie Igrzyska odbywające się za półtora tygodnia? Ha! Miejsce przy samym murze szóstego poziomu! — Kerr popatrzył na swojego rozmówcę z mieszaniną politowania, niedowierzania i rozbawienia. — Nie, dzięki. Nie mam zamiaru patrzeć, jak przerośnięte bałwany będą się wzajemnie zabijać dla chwały i uciechy smoków, ani jak inne, jeszcze większe bałwany, będą się temu przyglądać z głupkowatymi uśmiechami na twarzy.

— Hm... Szkoda. Choć nie robiłem sobie nadziei, że na to pójdziesz. Co powiesz na siedemdziesiąt sztuk?

— Zgoda — odpowiedział przemysłnik kończąc rozmowę.

Kerr lubił Niedźwiedzia właśnie za jego rzeczowość, uczciwość i inteligencję. Być może nie wyglądał on na sprytnego, ale były to tylko pozory. Gdy jego gospodarz skończył jeść, wziął szybko wszystkie przyniesione przez niego towary i schował je do skrytki pod niepozornymi, leżącymi z boku półkami. Oczywiście nie była to zwykła dziura w ziemi. Była ona przykryta deską i przysypaną ubitą ziemią, a ponieważ w całym budynku za podłogę służyło klepisko, skrytka była prawie nie do zauważenia, chyba że

wiedziało się, gdzie jej szukać. Najprawdopodobniej a raczej z pewnością nie była to jego jedyna skrytka. Niedźwiedź miał zwyczaj chowania wszystkiego. Do tej jednak zawsze chował rzeczy przyniesione przez Kerra, co znaczyło, że były tu najcenniejsze towary.

Ciekawe... Kerr mógłby okraść, może nawet zabić Niedźwiedzia, ale nie przyniosłoby mu to zysku. Chwilowy tak, ale na dłuższą metę straciłby i to wiele. Jako pośrednik Niedźwiedź był niezastąpiony. Do tego rzadko miewał pusty trzos, więc sam zwykle stanowił potencjalnego nabywcę.

Poza tym i on był przemytnikiem — tym, który narażając swoje własne życie, dawał innym dostęp do bezprawnie im odebranych przedmiotów zbytku, był tym, który walczy. O ile w ogóle mógł ufać komukolwiek, to właśnie jemu. Kerr zagadnął jeszcze raz Niedźwiedzia:

— Jakieś nowe zamówienia?

— Nie, nic nowego.

— W takim razie pójdę już. Mam jeszcze trochę pilnych spotkań. Dzięki za posiłek Niedźwiedziu.

— Nie dziękuj mi, tylko... O, Kerr...

— Tak?

— Chyba znów się zamysliłeś — powiedział Niedźwiedź, wskazując na prawie pełną miskę z jedzeniem

— No tak. Pozwolisz, że jeszcze chwilę zostanę.

Lor odetchnął głęboko przepelnionym zapachem potu i krwi powietrzem. Stał na szerokiej, piaszczystej arenie, a słońce odbijało się od jego naoliwionej skóry, łysej wytatuowanej głowy, okutych brązem rękawic, nabiodrów, naramienników i butów. Patrzył z dumą na walczących przed nim

gladiatorów — jego braci i siostry w duchu, trenujących, aby za tydzień wydać największe widowisko, jakie kiedykolwiek widziało Har'Shamats. Był on jednym z nich, choć znacznie przewyższał ich umiejętnościami i doświadczeniem. Brał udział już w sześciu Wielkich Igrzyskach. Jak na gladiatora żył bardzo długo.

Miał co prawda dopiero dwadzieścia sześć lat, ale wieku gladiatora nie liczyło się w ten sposób, ale właśnie w ilości przeżytych Wielkich Igrzysk. Rzadko kiedy gladiator walczący na arenie dożywał trzydziestu lat. Mierzenie wieku gladiatora w latach o niczym nie świadczyło. Wszyscy byli młodzi, pełni sił i w świetnej kondycji. Wielu umierało młodo na arenie. Wiek mierzony w latach o niczym nie świadczy...

Inaczej sprawa się miała z Wielkimi Igrzyskami. Były to momenty wielkiej próby dla gladiatorów — prawdziwy sprawdzian ich umiejętności. Im więcej Wielkich Igrzysk przeżył gladiator, tym był lepszy. Słabi ginęli, a silni przeżywali, aby wydać na świat kolejne zdrowe pokolenie gladiatorów, które zastąpi wkrótce poległych.

Niektórzy niewtajemniczeni mogliby to uznać za okrutne, ale to nie była prawda. Trzeba być gladiatorem, żeby to zrozumieć. Nawet ci słabi byli bohaterami — martwymi, ale w chwale. Ktoś przecież musiał umrzeć, więc dobrze, że ginęli najsłabsi. Jeżeli jednak przyjmowali to z godnością i honorem podczas walki, dając z siebie, ile tylko mogli, to zasługiwali na większą nawet chwałę niż za życia. Ostatecznie, to nie w pełni od nich zależały ich możliwości. Mogli pochodzić od słabych rodziców, mogli urodzić się z jakąś niewielką, niedostrzegalną od razu, ułomnością, mogli dostać gorszych trenerów — słowem: „nieważne jak żyjesz, ważne jak umierasz!” Było to stare powiedzenie gladiatorów, które z czasem przekształciło się w doktrynę kształtującą ich życie.

Lor szanował wszystkich, których pokonał, zanosił dziękczynne modły do wyższych sił, za to, że dane mu było walczyć z tak znamienitymi wojownikami. Prosił też o siłę ducha dla siebie, aby pewnego dnia, gdy znajdzie lepszego od siebie i on potrafił godnie odejść.

Dumając, Lor krążył wzdłuż brzegów areny. Miała ona owalny kształt. W ścianach, co parę metrów widniały pieczary, większość zastawiona kratami i zasłonięta parawanami z wymalowanymi rozmaitymi znakami. Znajdowały się tam pokoje, w których przebywali gladiatorzy przed walką, zbrojownia, gladiatorska kantyna, mała kapliczka, oraz pomieszczenia dla bestii. Arena otoczona była przez kilkumetrowe urwisko, oddzielające ją od szóstego kręgu, niższego miasta. Gdyby stanąć pod ścianą i spojrzeć w górę, ponad przeciwległy klif, można by zobaczyć wszystkie sześć kręgów miasta Har'Shamats.

Od północy natomiast były góry. Najbliższa z nich — strzelista i nienaturalnie stroma zaczynała się częściowo na arenie, a na jej ścianach rozbijały się ścieżki tworzące kręgi Har'Shamats. Tylko dwie najwyższe zagłębiały się w skomplikowany kompleks jaskiń i tuneli, w których mieściły się smocze gniazda. Cała powierzchnia góry była jak sito — wszędzie usiana różnej wielkości dziurami. Niektóre były tylko oknami, inne, większe i wychodzące na półki skalne służyły smokom jako balkony. Było też kilka naprawdę dużych jaskiń, wychodzących na najobszerniejsze półki skalne — z tych smoki wzbijały się w powietrze i na nich lądowały, jeżeli chciały się dostać do wnętrza góry.

Lor zatrzymał się przed wielką, wypolerowaną na glanc brązową tarczą i krytycznym okiem przyjrzał się swojemu odbiciu. Był wysoki. Mierzył metr i około dziewięćdziesięciu centymetrów. Był potężnie zbudowany. Jego szerokie barki, grube ramiona i nogi ciasno opinała ciemno opalona skóra.

Pokrywająca ją oliwa błyszczała na słońcu. Głowę miał okrągłą z mocno zarysowaną szczęką, a całą twarz dokładnie wygoloną. Jego ciało było skąpo owłosione. Lewą część twarzy Lora ozdobił czarny tatuaż, przedstawiający smoka. Jego ogon zaczynał się na środku zuchwy, ukośnie przecinał policzek i okrężał oko. Łeb kończył się tam, gdzie nos łączył się z czołem, a skrzydło wyrastało ze smoczego garbu zaraz przed łbem i zachodziło na skroń wojownika.

Nagle Lor zobaczył w brązowym lustrze stojącą za nim drugą postać. Gdy odwrócił się, stanął twarzą w twarz z krótkowłosą, wysoką gladiatorką, mierzącą go twardym spojrzeniem. Jej ciało chroniła pikowana, skórzana tunika, brązowy hełm, rękawice i nagolenniki.

— Zechcesz się ze mną zmierzyć Lorze? — spytała. Mężczyzna uśmiechnął się.

— Oczywiście, Sharmaine. Potrzeba nam sporo treningu, przed zbliżającymi się igrzyskami — odpowiedział, odwracając się do ściany areny i oglądając oparty o nią arsenał broni. Usłyszał, że jego przeciwniczka złapała podaną jej przez kogoś broń. Gdy znów się obrócił, nie zdziwił się widząc w jej rękach solidny, okuty brązem kostur — ulubioną broń Sharmaine. On sam wybrał gizarmę — broń drzewcową zwieńczoną hakowatym ostrzem.

Stanęli przed sobą na ugiętych nogach, w bojowych pozycjach, przyciągając uwagę odpoczywających gladiatorów i kilku smoków, oglądających trening z niższych balkonów.

Starcie rozpoczął Lor. Cios z góry. Drewno uderzyło o drewno. Gladiatorka sparowała atak, unosząc tylko kij nad głowę. Sharmaine zawirowała bronią, zbijając gizarmę i wskoczyła w lukę w obronie wroga. Wirujący kostur opadł, przecinając powietrze. Lor nadspodziewanie zwinnie odskooczył na bok, podrywając swoją broń. Brązowy hak świsnął

koło nóg, ale kobieta w porę uskokczyła. Ale zanim stanęła pewnie na nogach, hak już wracał! Lecz okute drzewce znów go odbiło.

Lor wciąż nacierał, jednak nie mógł przebić się przez zasłonę Sharmaine. Lekko i umiejętnie odbijała ciosy potężnego gladiatora, przechodząc po tym do krótkiego i szybkiego kontrataku. Raz nawet rozległo się donośne uderzenie metalu o metal, gdy głównia kostura trafiła w pancerz na biodrze Lora. On jednak do pewnego stopnia mógł sobie na to pozwolić — był wytrzymały, a poważnie zaszkodzić mogły mu jedynie ciosy w nieosłonięte części ciała. Pod tym względem gladiatorka była w gorszej sytuacji — nawet, gdyby gizarma trafiła w pancerz, Lor mógłby spróbować ją zahaczyć i powalić Sharmaine. Jak dotąd jednak bez sukcesu. Postanowił więc zmienić taktykę.

Przełożył prawą rękę do przodu, na środek drzewca swojej broni, chwytając ją jak kostur. Walka nabrała tempa. Ciosy padały jak grad. Walczących otoczył tuman kurzu. Cały czas słychać było trzaski i brzdęki. Dwa razy obserwatorzy mruknęli z uznaniem: raz, gdy Sharmaine sprowadziła na chwilę Lora do parteru, trafiając go w goleń, drugi raz, gdy na jej udzie wykwitła długa, prosta rana, zadana ostrzem oręża Lora. Broń co prawda nie była ostra, ale szybko pojawiały się na niej odpryski i zadziory.

Walka trwała dalej. Broń wirowała w powietrzu. Padały krótkie, szybkie ciosy. Oręż świszczwał i trzaskał. Ciała walczących były zlane potem. Nagle Lor wykonał pchnięcie w głowę oponentki. Ta uniosła szybko kostur, ale zanim zdążyła odbić atak, hak opadł na drzewce kija. Gwałtowne szarpnięcie rozbroiło Sharmaine. Jej broń opadła pod stopy Lora. Ona jednak nie miała zamiaru się poddać. Zawsze pozostawały jej jeszcze ręce i nogi.

Walka rozgorzała na nowo. Gladiatorka zwinnie unikała groźnych ciosów. Kilka razy musiała odbijać gizarmę rękawicami. Jednak, gdy na jej ramieniu pojawiła się kolejna rana, była już pewna, że nie wygra. Nie udawało jej się przejść do kontrataku. Gorzej się broniła. Potrzebowała broni.

Tymczasem Lor przeszedł do ostatecznego natarcia. Zadawał coraz szybsze ciosy. Przestał przejmować się obroną, widząc bezradność swojej przeciwniczki. Na ukos — raz z lewej, raz z prawej brązowe ostrze przecinało powietrze, i wtedy Sharmaine zdecydowała się na ostateczny, desperacki krok.

Zaraz po kolejnym ataku gladiatora rzuciła się do przodu, wymijając go. Rozejrzała się po ziemi, znalazła swoją broń, skoczyła w jej kierunku. Za nią rozległ się świst gizarmy. Padła na ziemię. Cios chybił. Przeturlała się i chwyciła kostur. Odwróciła się gotowa do obrony. Za późno. Lor już trzymał ostrze swojej broni na jej gardle. Sharmaine nie miała jak uskoczyć z klęczek. Walka skończyła się.

— Bravo! Poszło ci naprawdę świetnie — powiedział zwycięzca, podając dłoń przegranej. Ta chwyciła ją i mimo zmęczenia gibko poderwała się z ziemi. Oboje byli brudni od mieszanki potu, pyłu, a miejscami i krwi. Oboje ciężko dyszeli.

— Dalej za wolno. I jeszcze pozwoliłam się rozbroić. Gdybyśmy walczyli naprawdę, już bym była martwa.

— Ale widowisko byłoby świetne. Wiem, że dałaś z siebie wszystko — na te słowa gladiatorka odwróciła wzrok i zmiłkła. Lor kontynuował jednak nieporuszony.

— Poza tym nie będziesz ze mną walczyła. To będą twoje pierwsze Wielkie Igrzyska, więc wybiorą ci kogoś znacznie mniej doświadczonego niż ja.

— W rzeczy samej — rozległ się nagle głęboki, tubalny głos. Pod rozmawiającymi pojawił się wielki cień, a potężny

podmuchał wiatru poderwał piach z dna areny. Zaraz potem obok gladiatorów wylądował wielki, srebrno-biały smok. Gdyby wyprostował się, od czubka nosa do końca ogona miałby blisko dziewięć metrów. Rozpiętość jego skrzydeł wynosiła prawie piętnaście metrów. Głowę miał szeroką, z przodu nieco spłaszczoną. Niektóre zęby widocznie sterczały zarówno nad górną, jak i dolną wargę. Nad lazurowymi oczami szerokie brwi, zakończone kostnymi wyrostkami przechodziły w proste, długie rogi. Od potylicy zaczynały się trzy równoległe biegnące skórzane kołnierze, kończące się w okolicy barków. Środkowy był większy niż pozostałe. Smok był obdarzony jeszcze dodatkowo w trzy podobne kryzy. Jeden biegł od łędźwi do końca ogona, dwa pozostałe zdobiły jego policzki. Gad usiadł na zadnich łapach, oparł się na przednich, pochylił wielki łeb nad parą ludzi i znów odezwał się, szeroko i z przekąsem otwierając paszczę:

— Obserwowałem twoją walkę, Lorze. Dałeś jak zawsze niezwykły popis.

— Dziękuję, lordzie Batdariosie — odpowiedział gladiator, uśmiechając się, podczas gdy Sharmaine cofnęła się niepewnie, próbując nie zwracać na siebie uwagi. — Co cię sprowadza, lordzie, na arenę? Zapewne nie przyszedłeś tylko po to, aby mnie znowu chwalić. Tak przynajmniej myślę...

— Smok uśmiechnął się na te słowa szelmowsko.

— Tyle razy ci mówiłem, że myślenie nie jest dla ciebie. Ja cię w tym wyręczone.

— No tak — Lor zaśmiał się. — Chyba masz rację.

— A jednak nie mylisz się — kontynuował spokojnie smoczy lord. — Hm... Jesteś wielkim wojownikiem, wiesz? Nigdy nie widziałem lepszego. A żyję już ponad czterysta lat. Pewnie nawet nie umiesz sobie wyobrazić, ile to jest, prawda? Szkoda. Szkoda, że dzieli nas taka bariera. Jednak

twoje zdolności i męstwo wynoszą cię ponad innych ludzi. Tak... w moich oczach jesteś prawie jak smok!

— Tak, pamiętam. To dlatego kazałeś mi wytatuować go sobie na twarzy, aby każdy widział, że nie jestem byle kim i że znajduję się pod twoją opieką. To wszystko to naprawdę wielki zaszczyt dla mnie, ale czy możesz w końcu powiedzieć, o co chodzi? Co cię sprowadza na arenę?

Batdarios zachichotał. Przeciętnego człowieka przypawłoby to o ciarki.

— Czemu tak bardzo spieszy ci się, by poznać cel mojego przybycia?

— Nie mam czterystu lat na czekanie — z ironicznym uśmiechem odpowiedział Lor.

Tym razem smok zaśmiał się na całe gardło, tak głośno, że aż pobliscy gladiatorzy musieli przysłonić uszy dłońmi.

— Tak, w istocie nie masz. Przekonałeś mnie. Chciałem ci powiedzieć... — jaszczur obniżył łeb aż do samego gladiatora i kontynuował konspiracyjnym szeptem — z kim będziesz walczył na Wielkich Igrzyskach.

— Tak? Z kim? — spytał już zupełnie poważnie Lor.

Batdarios zamiast odpowiedzieć skinął leciutko łbem w stronę kolumn. Gdy Lor zerknął tam, zauważył stojącego w cieniu wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, z długimi, brązowymi, lekko pokręconymi włosami, które luźno opadały na kark. Miał on krótką, dość starannie utrzymaną brodę, na płaskiej szczęce. Z podłużnej, prostokątnej twarzy o mocno zarysowanych kościach wyzierało spojrzenie rozmarzonych, nieobecnych, bursztynowych oczu. Mężczyzna był ubrany bardziej jak mieszczanin, niż jak gladiator — w płócienne spodnie i tunikę. Jedynym przedmiotem, który świadczył o jego zawodzie był wielki, ciężki miecz oparty przy nim o ścianę.

Na ten widok Lor wypowiedział tylko jedno słowo, a w jego głosie słycać było mieszankę zdziwienia, niedowierzenia, i trochę gniewu. Przede wszystkim dało się wyczuć ogromną pogardę dla przeciwnika.

— Berem.

Rozdział II

Niespokojna noc

Mrok już dawno pogrążył świat. Noc utuliła do snu stworzenia, które w dzień załatwiły wszystkie swoje sprawy i które życie pobłogosławiło bezpiecznym legowiskiem.

Przez cienisty las samotnie wędruje młody jeleń. Zwierzę nieopatrznie oddzieliło się od stada. Musi być teraz bardzo ostrożne, bo wśród nocnych cieni czają się rozliczni myśliwi. Lepiej dla niego, by pilnie nasłuchiwało, uważnie się rozglądało i było przygotowany do skoku, gdyż w pobliżu czai się śmierć...

Masywny skrzydlaty kształt spadł z ogromną siłą w miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się jeleń. Zwierzę jednak w porę uskoczyło w zarośla. W momencie, gdy srebrna twarz księżycy wyjrzała zza zasłony chmur, blade światło padło na myśliwego, ujawniając jego tożsamość.

— Jak zwykle najadłam się tylko liści! — jęknęła zrezygnowanym głosem młoda smoczyca, wygarniając z paszczy resztki ściółki.

— Tak bywa — odpowiedział jej znacznie spokojniej drugi, dorosły smok, lądując gładko tuż obok. — Widzisz Solano, jeżeli teraz się potłuczysz...

— To w przyszłości tego uniknę, tak ojcze?

— Nie — smok zachichotał. — Będiesz wiedziała, co cię czeka następnym razem.

Smoczyca odpowiedziała kolejnym jęknięciem.

— Żartuję. Kiedyś każdy w końcu pojmuje trudną sztukę

latania. Ale aby do tego doszło potrzeba wielu lat ćwiczeń i niejednego siniaka.

— To dalej nie brzmi pocieszająco — rzuciła z wyrzutem Solana.

— Naprawdę? To dziwne... — zapytał sztucznie zdziwiony ojciec, po czym dodał na poważnie: — Chodź, upolujmy coś razem.

Przeciętny człowiek na pierwszy rzut oka nie powiedziałby, że ta para przekradająca się wśród cieni nocy jest ze sobą spokrewniona. Tym, co najbardziej rzucało się w oczy była różnica koloru skóry obu smoków. Gdy błądy księżyc rzucał na nich swoje światło, Solana pobłyskiwała karminem, a jej ojciec lazurem bezchmurnego nieba. Poza tym córka, choć mniejsza, była znacznie mocniej zbudowana: szeroka klatka piersiowa i miednica, oraz silne, grube łapy kontrastowały ze smukłym ciałem jej ojca.

Chód młodej Solany był dość niezgrabny — przypominał sposób poruszania się krokodyla, gdy ten zdecyduje się wyjść na ląd. Krok jej ojca, Favillasa, natomiast był uznawany wśród smoków za szczyt elegancji. Poruszał się podskakując lekko na czubkach nóg, ze wzniesioną głową i lekko wygiętą szyją, trochę jak majestatyczne rumaki z równin. Niektórzy zresztą mówili, że Favillas bardzo przypominał konia. Miał długie nogi, głowę kształtem podobną do końskiej, a na niej małe, sterczące do tyłu różki, coś jak uszy, oraz pojedynczy kołnierz skórny imitujący grzywę.

Choć Solana miała podobny kształt głowy do ojca, to jednak rogi miała już zupełnie inne — dłuższe, rozdwojone na końcach, a zamiast skórniego grzebienia, jej łeb zdobiła grzywa ze złoto-pomarańczowych włosów.

Większość z tych różnic nie świadczyła jednak o braku pokrewieństwa i wspólnej krwi. Smocze samice były zwykle

masywniejsze od samców. Skórne grzebienie samic były małe i w pełni porośnięte włosami. Dlaczego? Nie wiadomo. Niektórzy smoczy badacze historii i ewolucji wysnuli teorię, że jest to nabyty w ciągu wieków sposób na lepsze rozróżnianie płci, ułatwiający kontakty i zabezpieczający przed... Popęlnieniem tragicznej pomyłki. Zdania o tej teorii są podzielone. Niektórzy od razu okrzyknęli ją genialną. Inni stwierdzili, że jest po prostu głupia. Byli też tacy, którzy uznali, że wymaga ona przeprowadzenia serii badań i eksperymentów, choć nikt nie ośmielił się zaproponować jak miałyby one wyglądać.

Kolor również nie świadczył o pokrewieństwie. Wszystkie smoki wykluwały się szare. Dopiero później nabierały różnorodnych kolorów, poprzez spożywanie odpowiednich minerałów, które były częściowo odkładane w ich łuskach, skórze i włosach, ostatecznie nadając im charakterystyczną barwę. Kolor nie był dla smoka wyłącznie kwestią estetyczną. Ich unikalną cechą była właśnie Magia Barw. W zależności od spożywanych minerałów u dojrzewającego smoka ujawniały się różne atrybuty. Najbardziej charakterystyczną z ich zdolności był natomiast zabójczy oddech. Smoki potrafiły zionąć z paszczy ogniem, chmurą żrącego kwasu lub szybko pochłaniającą ciepło substancją, która wyziębiała wszystko czego dotknęła, pokrywając warstwą lodu.

Gdy ustala się wśród smoków rodzinne podobieństwo, pod uwagę należy wziąć proporcje ciała, kształt głowy i rogów, oraz układ grzebieni lub grzyw. Pod tymi względem Solana i Favillas byli dość podobni. Mieli bardzo długie i smukłe ogony oraz szyje, szerokie, długie skrzydła, podobną, „końską” głowę, oraz grzywę ciągnącą się od czoła do połowy szyi. Oczywiście Solana była przy tym ponad dwa razy mniejsza od ojca. Miała około trzy metry długości od pyska do ogona, a Favillas na pierwszy rzut oka — siedem.

— ... bez problemu przechodzisz przez te wszystkie zarośla, a ja, niezdara, co chwile potykam się, plątam w jakichś chaszczach i wydaję przy tym tyle hałasu... — narzekała smoczyca, aż w końcu jej ojciec obrócił się zirytowany.

— ... że aż słysząc cię na kilometr, to prawda. Włóż więcej energii w przebieganie łapkami zamiast językiem.

— Tato, przepraszam, ale nie mogę nadążyć za tobą. Nie wiem, jak ci się udaje tak szybko poruszać.

— Praktyka, Solano, praktyka. Bez tego nie będziesz dobra w niczym — oznajmił Favillas, przystając i oglądając się na córkę.

— Tak, wiem, ale... Ała! — krzyknęła nagle Solana, po czym wybuchła płaczem.

— Co się stało?

— A teraz coś sobie jeszcze wbiłam w łapę! Nigdy nie będę potrafiła niczego złowić! Nigdy nic mi się nie udaje. Żaden przystojny smok nie zechce być moim partnerem i... I ja... Skończę jak zdziwaczała, stara Vera — lamentowała mała smoczyca. Jej ojciec widząc ten spontaniczny wybuch rozpaczki stwierdził, że jak na razie dość już szkoły życia i czas na powrót do roli troskliwego rodzica. Zbliżył się do córki, pochylił nad nią głowę i zaczął szeptać łagodnym, uspokajającym głosem.

— Cii, cicho, no cicho już. Nic się nie stało. Przecież to tylko mały kamyczek. Popatrz, nawet nie przebił skóry. O już go nie ma. No i jak?

— D... Dobrze — odpowiedziała, już tylko trochę drżącym głosem, Solana.

— A poza tym nie powinnaś tak mówić o Veradalin. Jest stara, to prawda, ale także mądra. Pamiętaj, że ciągle jesteś dzieckiem. Dlatego też jej nie rozumiesz.

— Ale Brislen też jej przecież nie rozumie.

— Brislen jest niewiele starsza od ciebie, zaledwie pięć lat.

— I Batdar też — wymienia dalej Solana.

— Ba... Co? Lord Batdarios?! — wykrzyknął zdziwiony Favillas.

— Tak, a on jest starszy nawet od samej Verady.

— W istocie. Myślę, że musiałaś źle zrozumieć, to co mówił — ojciec chciał zakończyć ten niewygodny temat, i już odwrócił się, aby kontynuować przerwana podróż, jednak jego córka, jak na złość ciągnęła dalej.

— No, nie wydaje mi się. Powiedział: Ta stara pokręcona Vera. Poprzewracało jej się we łbie, bo nigdy samca nie miała... — Favillasowi aż szczęka opadła. Jego zakłopotanie zaczęło wyraźnie bawić Solanę, której humor znacznie się poprawił.

— I mówił jeszcze...

— Dobrze, wystarczy. Już dość tego!

— No, więc sam widzisz, tato, że nie ma nic gorszego, niż skończyć jak Vera — zakończyła triumfalnie Solana. Favillas jednak nie miał zamiaru tak tego pozostawić.

— Niezupełnie. Jest coś gorszego — odpowiedział nad wyraz spokojnie i poważnie, tak, że i Solana od razu spoważniała.

— Tak? A cóż to takiego?

— Najgorsze jest to, że tak strasznie wrzeszcząc spłoszyłaś kolację.

— I co teraz? — spytała smoczyca, a w jej oczach znów zatańczyły małe łezki.

— Obawiam się...

— Tak?

— Że będzie trzeba upiec twoją fryzjerkę — odpowiedział z ogromną powagą Favillas, chociaż z trudnem powstrzymywał

śmiech.

W odpowiedzi Solana bodnęła ojca swoimi różkami.

— Tato! Przestań się ze mną droczyć! Ty przecież nie jadasz ludzi!

Favillas roześmiał się serdecznie.

— Tak, wiem, ale sama widzisz, jak niemiło jest, kiedy ktoś się na ciebie uweźmie, prawda? Nie chcę słyszeć już nic więcej na temat Veradalin, rozumiano?

— Tak. No, ale co teraz zrobimy z kolacją? Tak bez żartów?

— Hm, widzisz tamto jeziorko? Zaczaisz się tam, w zaroślach, a ja podprowadzę na ciebie jakieś zwierzęta z pobliska. Dobrze?

— Tak! — odpowiedziała radośnie Solana, odganiając od siebie potworną wizję zniknięcia jej ulubionej fryzjerki. Kto układałby wtedy jej włosy? Kto by je tak pięknie zakręcał przy końcach? Doprawdy okropna perspektywa.

Z początku smoczyca trudno było znaleźć wygodne miejsce między gęsto rosnącymi krzakami. W końcu jednak udało jej się wcisnąć między pochyloną nad jeziorkiem wierzbę a jakiś wyrośnięty, rozłożysty krzew. Przyłgnęła do ziemi, skuliła się i zaczęła nasłuchiwać.

Przez pierwszych kilka minut żaden, nawet najdrobniejszy szmer nie zmącił nocnej ciszy. Las wiedział, że poluje groźny drapieżnik. Żadne zwierzę, żaden ptak, a nawet owad nie chciał zwrócić na siebie jego uwagi.

Nagle, nad Solaną rozległ się głośny szum, ale to tylko jej ojciec przelatywał wysoko nad drzewami, w poszukiwaniu zwierzyny. Smoczyca znów wtuliła łeb głębiej między zarośla. Niestety jej kolor nie pomagał jej przy polowaniu. Intensywnie czerwone łuski, widać było dobrze nawet w nocy. To takie frustrujące. Mogła wybrać jakiś lepszy kolor. Może biały jak

jej matka? Mogłaby wtedy udawać duży, wapienny głaz. Naprawdę duży wapienny głaz. W pewnym momencie Solana wpadła na pomysł.

— A gdybym tak wytarzała się w mule z jeziora? — pomyślała. — To by mi pomogło zlać się z otoczeniem. Ojciec przed chwilą tędy przelatywał, a najbliższa zwierzyna będzie pewnie całkiem daleko. Na pewno uda mi się to zrobić zanim wróci.

Zadowolona ze swojego pomysłu smoczyca wstała, wyszła z zarośli i już chciała wejść do wody, gdy nagle coś wyskoczyło z krzaków, ledwie kilka metrów od niej. Solana natychmiast się odwróciła.

Na trawie koło jeziora stał niewielki zając. Strzygł niespokojnie uszami i widać było, że serce bije mu tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z jego piersi. Zwierze zastygło w bezruchu, gdy zobaczyło koło siebie smoka. Chciał się odwrócić i uciec, ale ledwo zdążył oderwać jedną łapkę od ziemi, a znalazł się w potrzasku. Na zwierze spadł jakiś bury stwór, więząc go między swoimi ogromnymi pazurami. Solana aż podskoczyła zaskoczona tym, co właśnie miało miejsce.

Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy były pazury przednich łap, które wbiły się w ziemię wokół zająca. Były długie na ćwierć metra i wyrastały bezpośrednio z pokrytych szarym futrem nadgarstków, które przechodziły w długie, łuskowate przedramiona, a następnie w coraz grubsze bicepsy, które ginęły w szerokich barkach. Na krótkiej, mocnej szyi osadzona była podłużna, wąska paszcza. Bestia miała chudy brzuch i umięśniony kłęb. Tylne nogi były nawet trochę dłuższe od przednich, bardziej umięśnione, a zakończone trójpalczastymi łapami. Podobnie jak przednie pokryte były zarówno futrem, jak i łuskowatą skórą. Stwór był mniejszy

od młodego smoka — miał jakieś dwa metry długości od pyska do zada.

Początkowo rozpląszczył się na ziemi i przystawił paszczę do schwytanej ofiary, sycząc złowieszczo. Gdy jednak spostrzegł smoczycę nagle stracił zainteresowanie swoją poprzednią ofiarą. Potrząsną grzywą szorstkich, zmierzwionych, czarnych jak smoła włosów, która zdobiła jego głowę i barki, wyciągną pazury z ziemi, uwalniając królika, po czym zwinnie odskoczył od smoka. Solana nigdy nie widziała, ani nie słyszała o takim zwierzęciu, ale wyglądało na to, że nie bało się jej, choć było znacznie mniejsze.

Nie była pewna, czy ta istota ją zaatakuje, ale lepiej się na to przygotować. Solana rozstawiła szerzej łapy, wygięła do tyłu szyję i ugięła nogi, przygotowując się do obrony. Zwinęła też skrzydła, żeby jej nie przeszkadzały w walce i odchyliła je do tyłu, aby nie zostały uszkodzone.

Tymczasem zwierze nadal stało w pozycji gotującego się do skoku kota. Co jakiś czas przebierało swoimi nienaturalnie długimi, sierpowatymi pazurami po ziemi, co chwilę przekręcało na bok głowę, najwyraźniej czekając na jej ruch.

Solana czuła się niepewnie mając przed sobą coś, z czym wcześniej nie miała do czynienia. Przedtem walczyła jedynie dla zabawy ze swoimi rówieśnikami z gniazda. Postanowiła spróbować odstraszyć bestię pokazem siły. Rozłożyła szeroko skrzydła, uniosła łeb do góry i wypuściła z gardzieli pióropusz ognia, rozświetlając okolicę pomarańczowym światłem.

Bestia stała jednak dalej nieporuszona. Dało się słyszeć narastający gardłowy pomruk. Nagle cały komplet ostrych, białych, równiutkich zębów wyłonił się spod unoszących się stopniowo warg stwora. Istota poderwała się, stanęła na tylnych nogach i wrzasnęła długo i przeciągle.

Każdy mięsień Solany był już napięty jak postronek.

Stwór czekał. Widać sam chciał zmusić ją do odwrotu. Ale ona nie miała jeszcze zamiaru dać za wygraną. Żaden zwierz nie zadziera ze smokiem.

— Dobrze — myślała na głos. — Skoro za nic masz siłę i ogień, to, co powiesz na magię? — Smoczyca podniosła szybko jedną łapę i wskazała nią stwora, który widocznie coś przewidując, zaczął się cofać, ale zanim zdążył pokonać metr... — *His focur rux, urt te Solaras* — z łapy smoczycy wystrzelił jasny, świetlny promień i ugodził potwora w biceps, rozpryskując się przy tym w deszcz białych iskier. Bestia wydała z siebie okrzyk bólu, zachwiała się, po czym czmychnęła z powrotem w krzaki.

— Tak! Udało się! — wykrzyknęła Solana. Jej radość nie trwała jednak długo. Nagle na granicy lasu znów pojawiła się wściekle wyszczerzona paszcza. — Co? Nie dość ci było? — powiedziała pewnym głosem smoczyca, jednak jej pewność siebie znikła, jakby jej nigdy nie było, gdy koło pierwszego z cienia wyrósł kolejny połyskujący białymi zębami łeb, a po nim następny i jeszcze jeden. Solana poczuła się, jakby ktoś wyssał z jej płuc całe powietrze, a jej łapy zakorzeniły się głęboko w ziemi. Gdy stwory powoli i miarowo zaczęły wychodzić z cienia i zbliżać się do niej, zdołała jedynie podwinąć pod siebie ogon i zasłonić głowę skrzydłami. Bestie cicho charczały, posykiwały, okrążając powoli młodego smoka.

Nagle ich pyski wykrzywiły się w grymasie gniewu, naraz spojrzały w niebo, a po chwili na powrót zniknęły w leśnej gęstwinie. Zdumiona Solana usłyszała odgłos wielkich skrzydeł młócących powietrze. Przybył jej ojciec. Favillas wylądował obok niej.

— Chodź, w pobliżu jest miejsce, z którego będziesz mogła wystartować — powiedział i zanim zdążyła cokolwiek zrobić,

ruszył prędko między drzewa. Solana od razu skoczyła za nim. Biegła niespełna minutę, kierując się za jego ogonem, to znikającym, to znów pojawiającym się gdzieś między drzewami. Gdy wreszcie dogoniła ojca, ten stał nad sporym urwiskiem z szeroko rozłożonymi skrzydłami.

— C... Co się stało tato? Dlaczego nie naprowadziłeś na mnie zwierząt? — spytała podenerwowana. Czyżby ojciec też napotkał takie stwory i postanowił przerwać polowanie?

— Przepraszam, pobiegły nie tam, gdzie chciałem. Następnym razem może coś upolujesz. Ale nie martw się, udało mi się powalić dwa jelenie, więc nie pójdziemy spać głodni.

— Aha. Więc skąd taki pośpiech?

— Nie chcę, żeby coś mi je podebrało. O! Jest dobry wiatr. Musimy lecieć — po tych słowach smok wybił się mocno przed siebie. Przez chwilę zawisł jakby w powietrzu, a potem ześlizgnął się w dół po prądzie. Solana została na klifie sama. Obejrzała się jeszcze raz w stronę lasu, jakby się chciała upewnić, że nikt za nią nie stoi, po czym poszła w ślad za ojcem.

Dopiero wtedy, spomiędzy listowia, konarów i gałęzi, krzewów i kamieni wypełzły powoli złowieszcze, niewyraźne cienie. Mroczne sylwetki, najrozmaitszych kształtów i rozmiarów zatrzymały się przy krawędzi klifu i odprowadziły smoki wzrokiem świecących, czerwonych ślepi, zgrzytając zębami i pazurami.

Wśród gratów i śmieci zaścielających zaułki Har'Shamats, wśród płataniny mroku i strużek światła, wydobywającego się z domostw, jak i prześwitującego z góry światła księżyca, siedział ukryty Kerr — nic więcej niż kolejna istota, dla

której noc jest porą pracy, a nie spoczynku.

Przemytnik nasłuchiwał. W rękach trzymał przygotowaną broń. Przed chwilą usłyszał kroki przy uliczce, w którą miał zamiar skręcić. A może tylko mu się wydawało? Raczej nie — chwilę wcześniej widział cień człowieka w jednym z mijanych zaułków. Miał nadzieję, że to tylko śpiący pijak albo trup, ale wygląda na to, że się mylił i że jest tym razem rzeczywiście śledzony.

Zamierzał wyjść z kryjówki i zmierzyć się z ewentualnym przeciwnikiem, lecz nagle wysoko nad sobą usłyszał odgłos wielkich skrzydeł. Nim zdążył o tym pomyśleć, znów wtulił się w najbardziej zacieniony kąt zaułka. Tak, widział dokładnie — lecą dwa smoki. Jeden dorosły, a drugi młody, bo zdecydowanie mniejszy. Leciały dość wysoko, więc nie było szans na to, aby go mogły zobaczyć. Tymczasem, za zakrętem ktoś krzyknął. Dało się też słyszeć kroki i szuranie.

— Patrz! To smoki! Smoki lecą! Chowaj się!

Więc jest ich dwóch... Przynajmniej.

— Dobra, poleciały. Manley! Podejdz od drugiej strony. Jak tam dalej siedzi, to nam nie ucieknie!

— Dobra, szefie — odpowiedział drugi głos. Rozległy się kroki, które po chwili ucichły.

A więc to rzeczywiście pułapka! Chcą go otoczyć, tak? Dobrze, ale żeby tego dokonać oprych będzie musiał trochę pobiegać. Przez jakiś czas nie będzie mógł pomóc swojemu kompanowi. Taka okazja nie może się zmarnować. Kerr jeszcze raz oglądnął się na niebo i na widoczny stąd skrawek murów. Nic. Żadnego smoka w zasięgu wzroku. Doskonale.

Przemytnik wyskoczył z kryjówki i bezgłośnie wypadł z bronią w rękę na przyczajonych za zakrętem mężczyzn. Byli tak zaskoczeni, że prawie się przewrócili. Kerr poddał ich szybkiej ocenie. Łachmaniarze — stwierdził. Obaj

mężczyźni byli rośli, ale nie wyglądali na szczególnie silnych. Uzbrojony był tylko jeden z nich i to w zwykłą drewnianą pałkę. Żałosne. Jeżeli ten trzeci nie okaże się gladiatorem, to ci dwaj właściwie są już martwi. Ale Kerr postanowił dać im szansę ujść z życiem.

— Czaicie się na mnie? Durnie, lepiej stąd znikajcie, zanim was wypatroszę — reakcja opryszków była wprost przeciwna do zamierzonej. Z miejsca odzyskali animusz. Może myślą, że jeśli ich przeciwnik jest o ponad głowę od nich niższy, to nie muszą się go bać. Czyżby nie zwrócili uwagi na dwa, groźne ostrza w jego rękach? Co za idioci.

— Co? My mamy się stąd zabrać? — zbir zarechotał. — To ty się stąd zbieraj! I to szybko albo ukatrupię jak psa. Ale najpierw oddaj towar! — Mężczyzna wydarł się tak głośno, że Kerr się przestraszył. Oczywiście nie oprycha, lecz tego, że smoki go usłyszą. Choć do murów było stąd dość daleko, to ten głupiec darł się na całe gardło, jakby zupełnie zapomniał, że smoki mają świetny słuch i nie znoszą, gdy hałasuje się o tej porze. Tymczasem jego drugi kompan chwiejnym krokiem zaczął zbliżać się do Kerra. Widać było, że obaj są pijani. Wiadomo już, skąd czerpali zapał.

— No! Co tak stoisz i się gapisz? Zabrakło ci języka w gębie? — Kerr był rozdarty pomiędzy dwoma pomysłami: pierwszy, żeby wypatroszyć na miejscu krzykacza i jego kolegę, drugi, żeby stąd nawiać, zanim przybędą smoczy wartownicy. Tymczasem opryszkowie stawali się coraz bardziej napastliwi. Ten, który do tej pory milczał zbliżył się do samego Kerra i zionął mu w twarz oddechem, od wdychania którego samemu można było się nie najgorzej podchmielić. Napastnik zaśmiał się chrapliwie.

— Jak nie ma języka, to po co mu w ogóle ta morda? Chyba żeby ją solidnie obić — oprych zamachną się na

Kerra, ale ten bez problemu uniknął niezdarnego uderzenia. Mężczyzna przeleciał do przodu, potknął się o własne nogi i upadł w stertę drewnianych odpadków, wzniecając przy tym okropny hałas. Jakby tego nie było dość, zaczął wrzeszczeć jak opętany, gdy kawałek deski przebił mu nogę.

— Cholerni idioci! Zwabicie tu wszystkie smoki z okolicy — syknął rozniewany Kerr. W tym samym momencie, jakby na potwierdzenie jego słów jeden ze stróżów patrolujących mury wzleciał wysoko nad miasto i zawisł w powietrzu. Oglądał okolicę, ale z tej wysokości nie miał szans zobaczyć, co się dzieje w ciasnych, zacienionych zaułkach.

Widok ten przemówił wreszcie do rozsądku awanturnika, który z wyrazem trwogi na twarzy zaczął cofać się do tyłu. Jednak jego współnik, oszołomiony przez ból i nadmiar alkoholu pozostał nieporuszony. Chwiejąc się wstał i znów, rycząc na całe gardło zaczął się odgrażać.

— Teraz dopiero ci się oberwie! Stłukę cię jak psa! Jak śmierdzącego, zapchlonego kundla!

— Ej, Drum, przestań. On nie żartuje z tymi smokami.

— Mam w dupie smoki! I ciebie też! Chce tylko zarypać tego gnoja!

Przemytnik nie słuchał tej niezbyt wyszukanej wymiany zdań, tylko myślał i obserwował niebo. Nie można uciec tam, skąd przyszedł, bo w tamtym miejscu zaułek jest szerszy i nieosłonięty szmatami. Smoki zauważą go od razu. Poza tym, gdzieś tam może być jeszcze ten trzeci zbir. Trzeba będzie iść w drugim kierunku. To akurat nie jest problemem, bo tam się właśnie wybierał, kiedy napotkał opryszków. Tylko, że w tej chwili na drodze stoi mu jeden z bandytów. No i jeszcze jedno: co zrobić, żeby smoki nie zaczęły przeczesywać miasta?

Gdy tak myślał, na niebie pojawił się kolejny, nieco

mniejszy smok. Oba zaczęły powoli opadać ku ulicom miasta. Nie mogły wylądować bezpośrednio w zaułkach, gdyż były one zbyt wąskie.

Rozsądniejszy bandyta miał już dość. Puścił się biegiem w jeden z zaułków, aż się za nim kurzyło, zwalniając przy tym Kerrowi drogę ucieczki. Tymczasem drugi jakby dopiero teraz uświadomił sobie obecność smoków. Odwrócił się i tępym wzrokiem zaczął śledzić ich powolne lądowanie. Przemysłnik uśmiechnął się jadownicie i pomyślał:

— Stoisz bez broni, ledwie dwa metry ode mnie i wystawiasz na atak swą skroń? Jak mogę z tego nie skorzystać?

Nim oprych zdecydował się na cokolwiek, poczuł silne uderzenie w głowę. Chciał się obrócić i oddać denerwującemu przemytnikowi, ale nagle, nie wiadomo skąd wyrosła przed nim ziemia i zupełnie bez powodu czy ostrzeżenia uderzyła go w twarz. Później zgasło światło.

Dwa jaszczury zjawiły się w zaułku kilka chwil później. Trochę czasu zajęło im dotarcie tutaj, przez splątane, ciasne uliczki. Podeszły powoli do leżącego na ziemi człowieka. Większy z nich, o rozmiarach dorosłego smoka pochylił się nad nim i powąchał.

— Śmierdzi tym ludzkim napojem. Wygląda na to, że przedawkował.

— Nie musisz mi tego mówić. Czuć go było jeszcze, zanim go zobaczyliśmy — odpowiedział jego młodszy kompan.

— Tylko dlaczego tak wrzeszczał? I dlaczego teraz tutaj leży?

— Wiesz, jak to na nich działa. Łajno przewraca im się w głowach.

— A może ktoś go pobił?

— Zapewne tak, to normalne — stwierdził zirytowany strażnik. — Ciągle przecież to robią. Ale cóż nam do tego?

Chce ci się go szukać? — mniejszy smok odwrócił się i zaczął odchodzić, ale jego towarzysz zatrzymał go.

— Poczekaj chwilę.

— Co znowu!? Hej! Ty chyba nie chcesz... — Większy smok pochylił się nad leżącym człowiekiem, chwycił go zębami, podrzucił i połknął w kilku chapnięciach. — Ohydne! Jesteś niczym pisklą, wiesz? Wszystko, co znajdziesz od razu bierzesz do paszczy.

— O co ci chodzi? Nie jesteś przecież jednym z tych tkliwych etyków, co nie jadają ludzi.

— Ale tak z ulicy?

— No, trzeba było go ukarać, prawda?

— Wystarczyło go nadepnąć. Czasami wydaje mi się, że nie myślisz wiele więcej niż oni. Nie wiesz nawet, czy on nie był chory. Jak do jutra nie dostaniesz wrzodów na żołądku, to możesz uważać się za szczęśliwca.

— Wiesz? Chyba rzeczywiście przesadziłem — stwierdził starszy smok jakby zaniepokojony.

— Oczywiście, że tak. A teraz chodź! Nie chce mi się tu dłużej stać — mniejszy smok ruszył przed siebie, ale przystanął po zaledwie kilku krokach — no, co tak stoisz?

— Może jednak powinniśmy przeczesać okolicę? Tak jak każe regulamin? Wiesz, żeby się upewnić, że nikogo więcej tu nie było.

— Co? Nie najadłeś się jeszcze?

— No nie, ale...

— Jeżeli ktoś tu był, kiedy on zaczął krzyczeć, to już dawno się ulotnił. Może nie zauważyłeś, ale te zwierzaki są od nas sporo mniejsze i poruszają się trochę szybciej po tych zaułkach.

— To prawda. Pewnie byłby już daleko stąd. Chodźmy.

Oba gady powoli oddaliły się z zaułka, zupełnie nie-

świadome, że sprawca całego zamieszania nie był wcale aż tak daleko.

Gdy już oba zniknęły za zakrętem, a odgłosy ich stąpięć utonęły w głuchej ciemności, od jednej z licznych stert śmieci w sąsiednim zaułku oderwał się pojedynczy cień i pognął gdzieś przed siebie, osłonięty mrokiem nocy.

Kerr zatrzymał się dopiero przy urwisku wyższego kręgu. Przykucnął za wielką, drewnianą rampą, prowadzącą na wyższy poziom miasta. Masywna konstrukcja chroniła go przed wzrokiem smoczyczych wartowników... Przynajmniej na razie. Nie mógł po prostu wbiec po niej na górę, gdyż byłby widoczny jak na dłoni, ale musiał tam się dostać. Na szczęście pozostawała jeszcze jedna droga — wspinaczka po zboczu. Choć droga ta mogła wydawać się trudniejsza, to w istocie jednak była o wiele bezpieczniejsza.

Nieregularne skały chroniły go przed wzrokiem wartowników niemal zewsząd. Tylko ci z murów dokładnie za nim mogli go dostrzec, ale z tak wielkiej odległości, ubrany w długie, przylegające do ciała, bure ubranie, które zakładał specjalnie na takie wypadki i do tego jeszcze osłonięty mrokiem nocy był dla ich oczu niczym więcej niż częścią skały, po której się wspinał. Urwisko było pełne pęknięć, szczelin i występów, co stanowiło dodatkową osłonę przed niepowołanymi obserwatorami i ułatwiało wspinaczkę.

Przemytnik raz jeszcze rozejrzył się po okolicy, po czym wszedł na skalną ścianę i rozpoczął wspinaczkę. Wspinał się powoli i mozolnie, gdyż w nocy łatwo poślizgnąć się na zdradliwej, pokruszonej ścianie. Co jakiś czas przystawał na większych występkach skalnych, rzucał szybkie spojrzenie po mieście i po murach, po czym znów wracał do wspinaczki. Wreszcie dotarł do szczytu urwiska i zwinnie, niezauważony przez nikogo wślizgnął się na wyższy poziom Har'Shamats.

Od razu wskoczył w cień najbliższych zaułków. Cicho przebiegł jeszcze kilka metrów, po czym się zatrzymał. To tu. Kerr stał u wylotu uliczki wychodzącej na niewielką połąć wolnego od zabudowań terenu. Była ona otoczona przez ściany kilku budynków, ale żadne okno, ani drzwi nie wychodziły na to miejsce.

Były tutaj tylko dwie rzeczy: zrujnowana studnia i rosnące nad nią drzewo. Ludzie mówili, że w tym miejscu straszy, że w studni mieszka duch dziewczynki, która kiedyś tam wpadła i zginęła, bo choć krzyczała o pomoc, to nikt nie przybył z ratunkiem. Teraz duch dziecka nawiedza to przekłete miejsce i mści się na każdym, kto tu przebywa. Przemysłnik uśmiechnął się do siebie w duchu i wkroczył na „przeklętą ziemię”.

— Mogłem bardziej wysilić się przy wymyślaniu tej historii — pomyślał.

Tymczasem w studni coś się poruszyło. Z jej wnętrza wyszła dziwna istota, w ciemnobrązowym, potarganym płaszczu z kapturem. Była niższa nawet od Kerra i chodziła dziwnie zgarbiona. Odwróciła się w stronę przemysłnika, a następnie podniosła rękę i wykonała w jego kierunku zapraszający gest. Ten, jak gdyby nigdy nic, ruszył przed siebie na spotkanie z przybyszem ze studni. Gdy podszedł do niego na odległość mniejszą niż pół metra, pochylił się trochę i wyszeptał:

— Witaj Silasie, mój ty złotodajny szcurku. Ktoś poprosił mnie, żebym cię ucałował, ale chyba sobie to podaruję.

— Mądrze z twojej strony — odpowiedział piskliwym, skrzeczącym głosem Silas, uchylając przy tym kaptur. Spod brudnego łachu wychylił się dziwny, zwierzęcy pysk. Wyglądał dokładnie, jak łeb wielkiego, brunatnego szczura, poza jednym szczegółem: oczami, które nie mogły należeć do zwykłego szczura, oczami, w których czaiła się intelligen-

cja człowieka i spryt zwierzęcia. — Gonily mnie dziś wilki i żeby straciły mną zainteresowanie wytarzałem się w jakiejś padlinie, która wyjątkowo mocno zalatywała smokiem. — Po tych słowach pysk Silasa wykrzywił grymas, którego nie sposób było nie nazwać uśmiechem. Drugi, podobny wykwitł natychmiast na ustach Kerra.

— Jakiś jaszczur miał dziś zły dzień? Ktoś dziś nie wróci do gniazda?

— Nie aż tak bardzo zły. Trup nie należał do smoka. Chyba tylko ulał mu trochę krwi przed śmiercią — odpowiedział szczuroczłek.

— Szkoda — Kerr westchnął.

— Tak. Powiedz mi, czy to ty byłeś sprawcą zamieszania, do którego zleciały się te dwa smoki?

— Cóż, w pewnym sensie, to tak.

— Jesteś beznadziejny, wiesz? — Silas załamał ręce, a jego pysk przybrał wyraz irytacji.

— Ejże, to nie była całkiem moja wina. Naskoczyło na mnie dwóch pijanych oprychów i zanim zdążyłem ich uciścić narobili takiego hałasu, że zleciały się gady. Myślę sobie teraz, że wiem, jak mnie znaleźli i będę musiał złożyć komuś niezapowiedzianą wizytę w tej sprawie. Zresztą nieważne. Pokaż, co tam dzisiaj masz.

Silas furknął pogardliwie, odwrócił się i zwinnie wskoczył na brzeg studni. Pochylił się i zaczął wydobywać ze środka małe pakunki. Jego ręce z grubsza przypominały ręce zwykłego człowieka, oczywiście poza tym, że były pokryte krótkim, szorstkim futrem, a każdy palec był zakończony niedużym pazurkiem. Nogi natomiast były już bardziej zwierzęce — zginały się inaczej niż ludzkie, a stopy miały długie, chwytne palce. Silas miał też pokryty rzadką szczeciną, szczurzy ogon, który pomagał mu trzymać równowagę,

co w połączeniu z jego szczupłą budową i małym wzrostem czyniło z niego świetnego grotolaza.

To właśnie dzięki niemu Kerr zdobywał tyle ekskluzywnych towarów. Silas dawno temu znalazł tę nieczynną już studnię. Jej szyb w pewnym miejscu łączył się z naturalnymi jaskiniami, wijącymi się pod Har'Shamats. Przejście było niezwykle trudne, ale człekoszczur radził sobie z nim całkiem nieźle.

W końcu Silas skończył wydobywać przyniesione przedmioty. Odwrócił się do Kerra i pokazał mu towar. Ten podszedł do przodu i zaczął się mu przyglądać.

— Hm... Tak... Sporo tytoniu, ziela, o! Niezła gorzała, niewiele, ale jest. A to, co? Krasnoludzie piwo? Tak. Całkiem nieźle, naprawdę.

— Całkiem nieźle? Czy ty wiesz, co musiałem zrobić, żeby dostać te rzeczy?

— Chyba się nie doceniasz. Jestem pewien, że to wszystko było dla ciebie łatwe jakbyś robił to od dziecka.

— Robiłem to, kiedy ty byłeś w wieku, w którym chłopiec wciąż jeszcze zastanawia się, po co są na świecie kobiety, a jedynymi rzeczami, jakie przemycałeś do domu, były robaki i błoto, ku wielkiej zgryzocie twojej matki. Słuchaj mnie uważnie: to było cholernie trudne! Musiałem przedzierać się przez mroczne puszcze, będące siedliskiem bestii, które gdybyś zobaczył znów, zacząłbyś bać się ciemności, taplałem się w bagnach pełnych pijawek, które może wyssałyby ci resztki twojego marnego poczucia humoru, łąziłem po krainach tak zimnych, że... Że odmroziłbyś sobie tyłek!

— Dobrze, już dobrze. Spisałeś się, jak nikt przed tobą.

— No. Tak lepiej — odpowiedział udobruchany Silas.
— A teraz rzeczy dla mnie. No dawaj.

— Już się robi — odpowiedział Kerr, wyjmując jakieś

drobiazgi ze swojego plecaka. Gdy już miał wszystko, co chciał, wysypał to na włochatą rękę swojego rozmówcy. Ten obejrzał przedmioty, następnie schował szybko pod płaszcz.

— Hm... Tak, srebrne i złote pierścienie, smocze łuski, kły. Tak, całkiem niezłe.

— Całkiem niezłe? Mam ci powiedzieć, co JA musiałem przejść?

— Nie, dzięki. Bajasz gorzej niż ja — odpowiedział Silas, wycofując się do studni. — Ale i tak powiem ci, że niewielu poradziłoby sobie tak dobrze jak ty. Właściwie, to nie znam nikogo takiego... Kto by żył — po tych słowach Silas zniknął w „nawiedzonej” studni. Kerr pochował szybko nowo nabyte towary, odwrócił się i zaczął odchodzić, ale zanim zniknął znów w zaułkach ze studni raz jeszcze wychyliła się szczurza głowa.

— Hej, Kerr — zapiszczał Silas.

— Tak?

— Wrócę za jakieś półtora tygodnia. Jak już dotrę, zostawię ci notatkę tam, gdzie zawsze.

— Dobra. Uważaj na siebie, pchlarzu.

— I ty też, parszywcu — szczurzy łeb znów schował się w zrujnowanej studni. Tym razem na dobre. Kerr postanowił też nie marnować czasu i szybko zniknął w cieniu.

Droga powrotna nie sprawiła już żadnych problemów. Gdy przemytnik zszedł z urwiska i znalazł się znów pod opieką wąskich zaułków szóstego kręgu, nie alarmując przy tym żadnego ze smoczyczych stróżów, udał się wolno z powrotem do karczmy Matta, gdzie miał zamiar spędzić resztę nocy. Spokojny, niemal pewny, że nic się już nie stanie pozwolił swoim myślom swobodnie błądzić, przywołując wspomnienia mniej, lub bardziej dalekiej przeszłości.

— Ach, stary dobry, Silas. Co ja bym bez tego włochacza

zrobił? — pomyślał Kerr. Znał się z Silasem od bardzo dawna, nim jeszcze poznał Niedźwiedzia i zanim zginęli jego rodzice. Był wtedy zupełnie kimś innym... Chociaż może jednak wcale nie? Może nie zmienił się tak bardzo?

Silas był kiedyś łowczym smoków i przyjacielem rodziny Kerra. Był zwykłym człowiekiem, chociaż o niezwyklej wręcz biegłości w posługiwaniu się łukiem i nożami oraz niezziemskiej urodzie. Łączyły go jakieś zawile więzy pokrewieństwa z matką Kerra. Często bywał u nich w domu, wpadał na obiady, sporo gadał, czasami przynosił jakieś rzeczy dla jego rodziców. Dopiero później Kerr dowiedział się, że Silas i oboje jego rodzice byli przemytnikami.

Łowczy tak jak rodzice Kerra nienawidził smoków i jak oni chciał choć trochę polepszyć sytuację mieszkańców miasta. To właśnie dzięki nim Kerr stał się kimś lepszym, wyróżniał się od całej tej hołoty z Har'Shamats, której tak bardzo nienawidził.

Łowczy pomagali smokom podczas większości ich polowań. Niektóre smoki nie ruszały się na łowy bez swoich ludzkich pupili. Jednym z nich był pan Silasa. Podczas polowań smoki pozwalały łowcom oddalać się samodzielnie w poszukiwaniu zdobyczy. Silas wykorzystywał ten czas, do zdobywania towarów dla rodziców Kerra, którzy — w przeciwieństwie do niego — mieli sporo czasu na rozprawienie ich po mieście.

Niestety pewnego dnia, podczas wieczornego polowania Silas został zaatakowany przez dziwną bestię: szczurołaka.

Zanim zdążył uciec, potwór pokąsał go. Gdy Silas wrócił do swojego smoczego władcy, powiedział mu, że został zaatakowany przez wilka. Nie mógł ujawnić prawdy — zostałby natychmiast zabity, gdyż człowiek, który zostanie podrapany, lub ugryziony przez taką bestię, sam

może się w takową przeobrazić przy pierwszej pełni księżyca. Łowca stanowiłby za duże zagrożenie — zwierzołaki po przemianie stają się nieobliczalnymi, żądnymi krwi bestiami. Silas chciał się oddalić, żeby znaleźć jedyne lekarstwo na klątwę likantropi — belladonnę, ale akurat wtedy, jak na złość, jego pan zdobył się na akt niezwyklej wielkoduszności i przykazał swojemu synowi odeskortować rannego do miasta. Ten zaś nie mógł spróbować ucieczki w trakcie podróży czy polowania — wtedy zginęłaby cała jego rodzina. Było to zabezpieczenie stosowane przez smoki.

Nie udało się znaleźć lekarstwa, a działa ono jedynie, jeśli zostanie podane niedługo po zranieniu. Silas nie miał wyboru — musiał uciekać z miasta. Nikt nie wie dokładnie jak, ale udało mu się to. Smoki nie przewidywały w ogóle takiej możliwości, dlatego łowcę uznano za ofiarę zabójstwa. Tak było szybciej i znacznie łatwiej.

Rodzina przemytników nie radziła sobie już tak dobrze. Jakies cztery miesiące po zdarzeniu ojciec Kerra zginął, pobity na śmierć przez pijanego gladiatora. Na jego matkę przyszła kolej po paru latach, gdy w mieście wybuchła epidemia. Przez niemal pół roku Kerr był sam. Był to najgorszy okres w jego życiu.

Ale później wszystko się ułożyło. W końcu spotkał Niedźwiedzia, który niewiele później został jego współnikiem i przyjacielem. Wrócił też Silas, chociaż już nie jako ten wysoki, przystojny, schludnie ubrany łowca, za którym szalały całe rzesze kobiet. Zmienił się. Pojawił się jako pokraczna, chimeryczna hybryda człowieka i gryzonia z rynsztoku. Odnalazł Kerra, kiedy ten błąkał się bez celu zaułkami Har'Shamats i... Nie ma co ukrywać, napędził mu nie lada strachu. Kerr omal nie narobił w spodnie. Kiedy zaś doszedł już do siebie po nieoczekiwanym spotkaniu, Silas opowie-

dział mu, jak udał się w głąb południowej puszczy, szukając miejsca, gdzie nie będzie mógł nikogo zranić. Podczas tej podróży spotkał dzikich elfów — tych, które nie przystały na służbę u smoków i schowały się w lasach, odcinając od spraw świata zewnętrznego.

Byli wśród nich tacy, którzy służyli i nierzadko rozkazywali siłom natury. Nauczyli oni Silasa, jak panować nad swoją przemianą, jak kontrolować swoją zwierzęcą naturę. Od tego czasu rozpoczęły się świetlane czasy dla Kerra. Silas pokazał mu przejście w studni i powiedział, że będzie mu pomagał jak niegdyś rodzicom. Teraz były łowca mógł zbierać jeszcze więcej cenniejszych przedmiotów — nikt go nie trzymał na smyczy, nikt go już więcej nie pilnował.

Przemytnik przerwał swoje rozmyślenia dopiero, kiedy zatrzymał się przed karczmą. Był to spory budynek, zbudowany głównie z dużych, drewnianych pali. W przeciwieństwie do większości budynków Har'Shamats, ten posiadał nawet piętro, gdzie znajdowały się pokoje mieszkalne.

Kerr wszedł do środka. Sala główna była bardzo obszerna. Strop podpierały cztery wielkie, drewniane filary, między którymi rozłożone było sporo prostych stołów i taboretów. Pod przeciwległą ścianą umiejscowiona była długa lada, za którą uwijał się pracownik karczmarz. Za sobą ustawione miał beczki z piwem, kwasem, cydrem, niekiedy winem. Mocniejsze napitki były zabronione przez smoki. Miały widać nadzieję, że spożywanie słabszych napojów wydłuży fazę odurzania się, która nie była jeszcze tak bardzo zła, bowiem ludzie przynajmniej siedzieli w jednym miejscu, w odróżnieniu od istotnie niezdolnej fazy hałasowania i wszczynania burd.

— Cholera — zaklął cicho Kerr. Niemal każdy stolik był zajęty. Karczma pękała w szwach, a on zupełnie nie miał

ochoty na towarzystwo większości z rozgadanych bywalców karczmy. Ruszył powoli w stronę szynku, przeciskając się między masą roześmianych klientów. W końcu dotarł do długiej drewnianej lady, przy której karczmarz przyjmował zamówienia.

— Witaj Kerr! Czym mogę ci dzisiaj służyć?

— Co dzisiaj taki tłok? — spytał zirytowany Kerr.

— A! To dzięki naszemu nowemu piwu! Właśnie otworzyłem kilka beczek i wszyscy chcą go spróbować. Może ty też się skusisz? Tylko sześć miedziaków.

— Niech będzie. I daj mi do tego chleba z serem — odpowiedział przemytnik. Wreszcie zwolnił się jeden stolik. Wstał od niego barczysty mężczyzna w towarzystwie dwóch hojnie obdarowanych przez naturę kobiet. Kerrowi nie chciało się oglądać za nimi. Zajął szybko wolne miejsce i zaczął przeszukiwać wzrokiem karczmę. Wreszcie znalazł, kogo chciał. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, uśmiechnął się ciepło i szczerze.

Przy Kerrze stanęła kelnerka. Nie była jaka... Miała na imię Wren i była dla niego szczególną osobą.

— Witaj, Kerr. Oto twoje zamówienie — powiedziała kobieta, zniewalając się przy tym uśmiechając. Wren była podobnego wzrostu, co Kerr, całkiem dobrze zbudowana, choć większość mężczyzn określiłaby jej sylwetkę, jako „nieciekawą”.

Miała raczej wąskie biodra i małe piersi, ale zdawała się tym w ogóle nie przejmować. Brązowe, krótko ścięte włosy okalały jej owalną twarz. Miała mało wydatne usta, których nigdy nie pokrywała żadną pomadą i mały, lekko zadarty nosek. Choć rysy jej twarzy były delikatne, to jednak wyzierało z niej coś, co nie pozwalało o niej samej myśleć podobnie. Widać było, że choć spojrzenie jej wąskich, szarych jak pora-

nek oczu zdradzało w tej chwili jedynie najcieplejsze uczucia, to w następnej sekundzie mogło stać się zimne i szorstkie. Wren potrafiła otoczyć się istnym całunem chłodu i nieprzystępności, Kerr to wiedział.

— Dzięki, Wren — odpowiedział ciepło przemytnik, patrząc w jej rozpromienioną twarz. — O której dzisiaj kończysz? — mina kobiety nieco zrzędnęła na to pytanie.

— Późno. Niestety Matt otworzył dziś swoją nieszczęsną nową warkę i wszyscy chcą jej spróbować.

— A więc to rzeczywiście coś nowego? Myślałem, że nikt w Har'Shamats nie potrafi już uwarzyć nic innego niż... No cóż, tego sikacza, co go podają wszędzie. Jak to smakuje?

— Jeżeli o mnie chodzi, to całkiem ciekawie, jakby orzechami, ale teraz, kiedy wszyscy już trochę popili Matt podaje je rozwodnione — na ustach Wren wykwitł szelmowski uśmiech i dodała cicho — ale tobie chyba uda mi się przemyć ten napój bez zbędnych dodatków.

Kerr odwzajemnił uśmiech Wren i odpowiedział:

— Dzięki za to poświęcenie. Jak już skończysz pracę, napijemy się razem prawdziwego trunku. Właśnie otrzymałem kolejną dostawę.

— Brzmi bardzo zachęcająco. Niech to! Znowu mnie wołają. Na razie, Kerr — kobieta oddaliła się i znikła wśród ludzkiej ciżby.

Kerr pamiętał bardzo dobrze jego pierwsze spotkanie z Wren. W końcu nie było to tak dawno temu, może z pół roku. Kerr regularnie chodził do tej karczmy, aby odpocząć po pracy. Tamtego dnia karczmarz najął kilka nowych kobiet do pomocy — dwie stare zostały zjedzone przez smoki, z bliżej nieokreślonego powodu.

Jedną z nowych była właśnie Wren. Gdy Kerr siedział w karczmie zauważył jak, pewien gladiator zaczął ją podrywać.

Z początku nie działo się nic złego, ale gdy kobieta wciąż odmawiała, mężczyzna stał się napastliwy. Objął Wren swoim wielkim ramieniem i zaczął jej wmawiać, że ma szczęście, że akurat ona mu się spodobała. Kobieta odpowiedziała mu, krótko, żeby poszedł w diabły. Nie rozumiał.

W końcu zaczął ją namawiać, żeby zwoolniła się na chwilę i poszła z nim na górę „trochę się rozerwać”. W charakterze odpowiedzi dostał łokciem w splot słoneczny, kopniaka drewnianą podeszwą w kolano, a potem w kostkę, w efekcie czego przewrócił się, a jego twarz odbiła się na jednym z pali podtrzymujących karczmę.

Rozmowy w karczmie ucichły. Wszystkie twarze zwróciły się na Wren. Ta zmierzyła gości mrozącym krew w żyłach spojrzeniem. Nikt nie miał ochoty się odezwać. Nikt, poza Kerrem. Gdy wszyscy siedzieli cicho jak myszy pod miotłą, on beztrudnie zaczął bić brawo. Wren odwróciła się do niego równie zaskoczona, co reszta gawiedzi. Przez chwilę stała tylko zdezorientowana, aż w końcu uśmiechnęła się, tak ciepło i urzekająco, jak tylko ona potrafiła.

— Dziękuję — powiedziała, dygając, jak aktorka po występie. Tak się to zaczęło. Od tamtego czasu Kerr i Wren są razem.

Przemytnik raz jeszcze uśmiechnął się do swoich wspomnień. I wtedy w karczmie zrobiło się ciszej. Wyrwany ze swoich rozmyślań Kerr rozglądając się po pomieszczeniu i zauważył stojącego w wejściu rosłego mężczyznę, ubranego co prawda w zwykły mieszczkański strój, ale z pewnością nie należącego do tej klasy społecznej.

Był zbyt dobrze zbudowany i za dobrze utrzymany jak na mieszczanina. Nie wyglądał też na łowcę — oni zwykle też nie są tacy muskularni, a poza tym najczęściej odziewają się w ubrania obszywane futrem. Wyłącznie oni mają prawo się

tak nosić — jest to ich znak rozpoznawczy. Z pewnością nie był też żadnym z fachowców z wyższego miasta. Kerr by go rozpoznał. Czyżby w takim razie nieznamy był gladiatorem? Nic innego chyba nie pozostało. Zresztą nieważne. Kerr nie miał ochoty go o to pytać. W karczmie na powrót zrobiło się gwarno, a przybysz ruszył przed siebie, szukając jakiegoś wolnego miejsca

— Oby tylko nie tutaj — myślał Kerr. Obcy tymczasem, jak na złość, coraz bardziej zbliżał się do jego stolika. — Nie idź tutaj. Znajdź sobie kogoś swojego pokroju. Nie mam ochoty na towarzystwo. Na pewno już nie na twoje.

Niestety, mężczyzna nie posłuchał jego niewypowiedzianych prośb. Siadając, uśmiechnął się do niego i pozdrowił krótko.

— Witaj! — odpowiedział Kerr, dodając w myślach — niech cię szlag.

Wyglądało na to, że mężczyzna nie miał zamiaru na tym poprzestać. Cały czas patrzył na Kerra, choć ten odwrócił wzrok i starał się sprawiać wrażenie w ogóle nim niezainteresowanego.

— Ludzie nazywają mnie Berem, gladiator — odezwał się w końcu natręt.

— Doprawdy niezwykle! Ciekawe, dlaczego? Może dlatego, że tak ci na imię? A pracujesz obijając ludzi na arenie? — rzucił opryskliwe przemytnik, mając nadzieję zniechęcić gladiatora do dalszej rozmowy. Wyglądało na to, że wreszcie odniósł sukces. Przybłęda nie spodziewał się takiej wypowiedzi. Berema zamurowało. Ale nie na długo. Ku niepomiernemu zdziwieniu Kerra gladiator roześmiał się gromko.

— No tak, trzeba przyznać, że nie jest to bardzo wymyślne imię, prawda? Ale przynajmniej nie muszę się zbytnio wysilać

gdy się przedstawiam, prawda?

— N... No tak — Tym razem to Kerr zgłupiał. Przygotowany był raczej na odpowiedź pokroju „Uważaj na swój język gnojku, bo ci go wyrwę” albo „Śmiesz obrażać gladiatora, ty kurduplu?”, a nawet na to, że mężczyzna od razu rzuci się na niego z pięściami. Ale co teraz?

— Szlag! Nie wypada mi go teraz obrażać! Co mam zrobić? A tak w ogóle to, gdzie podziała się tradycyjna gladiatorska duma i wyższość? — chciał spytać, ale Berem go ubiegł.

— W takim razie, jak ciebie nazywają, przyjacielu?

— Kerr.

— Kerr — powtórzył gladiator i zamilkł jakby dumał nad czymś. — Powiedz mi Kerr. Czy jedzenie w tej karczmie jest aż tak kiepskie?

— Co? — spytał zdziwiony przemytnik. — Dlaczego miałyby takie być?

— No, bo widzisz, siedzisz to już jakiś czas i... — Kerr opuścił wzrok na zamówione przez siebie jedzenie. Nawet go nie tknął.

— Cholera! — zaklął w myślach przemytnik. — Nie, jedzenie jest całkiem przyzwoite, tylko się zamyśliłem — odparł i zabrał się wreszcie do jedzenia. Berem natomiast sam złożył zamówienie.

— Pozwól, że spytam: nie myślałeś nigdy nad przydomkiem, Kerr? — zagadnął znowu Berem. Przemytnik oderwał się na chwilę od jedzenia, rozbawiony jego pomysłem.

— Przydomkiem? A niby, jakim? Kerr Prz... — gdy tylko Kerr zorientował się, co chciał powiedzieć, przerwał wypowiedź w pół zdania. Przestraszony zwrócił wzrok na Berema. Ten jednak najwyraźniej nie zwrócił na to w ogóle uwagi, pogrążony w jakichś rozmyślaniach.

I znów to samo — pomyślał przemytnik, patrząc na

poważnego, zadumanego rozmówcę.

To zupełnie nie pasuje do gladiatora.

— Zuchwały! — wykrzyknął nagle Berem

— Co? Co zuchwały? — spytał zaskoczony Kerr.

— Twój przydomek! Kerr Zuchwały. I jak sądzisz? Brzmi nieźle, co?

— Cóż, możliwe — powiedział przemytnik, po czym na jego twarzy wykwitły chytry półuśmiech. — Ale powiedz mi, co jest we mnie takiego zuchwałego?

— No... To, że bez obaw prowokujesz gladiatora?

— Tak? — zaczął cicho Kerr. — Mówisz tak, jakbym powinien mieć obawy przed prowokowaniem gladiatora.

— Nie. Niewskazane jest czynić sobie wrogów już na wstępie. Tak mawiam.

— Ale dlaczego akurat gladiatora? Uważasz, że jesteście lepsi niż pozostali ludzie?

— No cóż, widzisz... — zaczął Berem — nie powiedziałbym, że lepsi, tylko no, jakby to ująć... z jakiegoś powodu większość ludzi stara się raczej nie podpaść komuś, kto może okazać się nieobliczalny albo przynajmniej bardzo drażliwy, a połowę swojego życia spędził walcząc na śmierć i życie z podobnymi sobie ludźmi i najróżniejszymi bestiami. Większość ludzi to trochę onieśmiela — zakończył z uśmiechem Berem.

Kerr patrzył się beznamiętnie w twarz Berema. A więc jednak. Nie kryje się ze swoją próżnością. On wcale nie jest próżny. Czy on naprawdę jest gladiatorem? Czy tylko tak się nazywa? Kerr nawet nie zauważył, kiedy rozmowa przestała go denerwować, a zaczęła ciekawić. Teraz sam postanowił zadać pytanie.

— Nie zachowujesz się jak inni gladiatorzy. Dlaczego?

— Co to znaczy, że nie zachowuję się jak inni gladiatorzy? — zdziwił się Berem.

— Myślisz, zanim coś powiesz, nie jesteś dumny i pyszałkowany, prawie nie da się wyprowadzić cię z równowagi.

— Czyli w aż tak złym świetle widzisz wszystkich gladiatorów? To smutne i niesprawiedliwe.

— Czyżby? Zawsze się sprawdza — odpowiedział lekceważąco przemytnik, ale gdy napotkał wzrok Berema pośpiesznie poprawił się. — Znaczą się, do tej pory się sprawdzało.

Gladiator zamyślił się. Po chwili dostał zamówioną polewkę. Z uśmiechem na twarzy podziękował dziewczce, która ją podała, zjadł łyżkę stawy, po czym rozpoczął wywód.

— Wiem, że twój opis pasuje do wielu, ale wielu też krzywdzi. Każdy z nas, czy to sprzedawca, złodziej, karczmarz, żebrak, gladiator, czy nawet... Przemytnik. — Cień strachu padł na Kerr, gdy usłyszał to ostatnie słowo, poprzedzone na dodatek długą pauzą. — Czyżby on...?

Berem jednak dalej kontynuował swój wykład, z tym samym nieobecny, zamyślony wyrazem na twarzy.

— ... każdy z nas jest przede wszystkim człowiekiem. To, czym w życiu się zajmujemy na pewno na nie wpływa, ale nie sądzę, żeby określało, kim naprawdę jesteśmy. Dlaczego gladiator... Dlaczego każdy gladiator miałby być od razu próżny i dumny?

Obaj mężczyźni długo milczeli. Berem czekał, aż Kerr coś powie, a Kerr zastanawiał się nad tym, co usłyszał i co o tym sądzić. To, co powiedział gladiator, było w istocie prawdą i to prawdą tak oczywistą i niezaprzeczalną, że Kerr zaczął się zastanawiać, dlaczego to do niego do tej pory jeszcze nie dotarło.

Raz jeszcze wrócił do wspomnień. Przed jego oczami zamajaczyła mu postać ojca, tak dobrze mu znajoma i tak wspaniale zachowana w jego umyśle. Postać ojca wiecznie żywa, bo nigdy nie dane mu było oglądać go martwym. Jego

ciało zostało oddane do rzeźni, zanim on i matka mogli ostatni raz go zobaczyć, pożegnać się z nim.

Nie dowiedzieliby się nawet, co się stało, gdyby nie to, że kilku świadków śmierci ojca Kerra zatrzymało się akurat pod ich domem, żeby pogadać o „świetnym widowisku”, jakie dziś widzieli.

— Tylko wariat gada tak do gladiatora — mówili.

— No, ale całkiem długo się trzymał. To było lepsze niż niektóre pokazy na arenie. — Gadali, więc spytał się, o kogo im chodziło, choć już podejrzewał, co się stało. Znał tylko jednego człowieka na tyle odważnego, by postawić się gladiatorowi.

Durnie i głupcy. Cholerne, bezmyślne bydło! Ale on, nie był taki, jak oni, nie! Chociaż miał zaledwie czternaście lat odsunął od siebie smutek, nie poddał się emocjom. Chociaż stracił kogoś, kto dał mu wszystko, co teraz posiada — kogoś, kto nauczył go jego fachu... Nie. Co tam po fachu. To za mało, żeby wyrazić to wszystko... Kogoś, kto dał mu życie... Ale co tam życie, gdyby miał je wieść, tak, jak ci wszyscy nędzarze wokoło... Ale on dał mu jeszcze coś, za co Kerr będzie go szanował do końca swych dni — dał mu przykład i honor.

Zanim ci bezmyślni głupcy odeszli dowiedział się, kto zabił jego ojca. Był to mistrz areny — Anvil. Kerr znalazł żelazny sztylet swojego ojca i nauczyciela, który zgodził się wytrenować go w sztuce cichego zabijania. Ćwiczył przez cztery, długie miesiące. Wracał do domu zziąjany i częstokroć pokaleczony. Jego mistrz nie należał do delikatnych, ale znał się na tym, co robił. Potem pomagał matce w rozprowadzeniu towarów i innych pracach, których podejmowali się w tych trudnych czasach. Nie było już Silasa, który przynosił im najcenniejsze towary, a z częścią innych dostawców, jak i kupców tylko ojciec Kerra wiedział, jak się porozumieć.

Zastanawiał się czasami, czy jego matka wie, co zamierza. W końcu, gdy po raz kolejny zobaczył ją, jak wraca do domu, skrajnie wyczerpana i opada ciężko na palik służący im za krzesło i jak rozciera swoje zgrubiałe, poobcierane stopy, powiedział jej, co robi. Powiedział jeszcze, że jeśli ona tylko o to poprosi, to przerwie naukę, aby móc więcej czasu jej pomagać. To, co zrobiła utknęło mu w pamięci na zawsze. Uśmiechnęła się spod zasłaniających jej cierpiące oblicze brudnych włosów i położyła swoją dłoń na jego głowie. Gładziła go po włosach, które po niej odziedziczył, patrząc na jego twarz, będącą odbiciem jej własnej.

— Dobry synek, dobry, mały Kerr. Matka zatroszczy się o siebie, ale ojciec już nie. Dobrze, że chcesz to zrobić za niego.

Dlatego Kerr ćwiczył dalej, doskonaląc się w sztuce odbierania życia. Ćwiczył i ćwiczył, ale tylko po to, by pewnego dnia, gdy był już bliski końca nauk, usłyszeć na ulicy wymianę zdań:

— Ech, zawiodłem się na Anvilu. Ta ostatnia walka to była tylko strata pieniędzy.

— Ta... Ten nowy wgniótł go w ziemię po kilkunastu sekundach... Dosłownie. Moja kobieta pracuje przy sprzątanii areny i wiesz co? Załatwiła mi jego palec wskazujący! Dobra pamiątka, co?

Powrót do bolesnych wspomnień uświadomił Kerrowi ważną rzecz — pomimo upływu czasu rany jego duszy wcale się nie zabiłiły. Znów poczuł nienawiść, jątrzącą się w nim jak ropa z zabrudzonej rany.

— Jednak tym razem nie ulegnę temu! Nigdy więcej!
— Poprzysiągł sobie. Był wtedy sam, zagubiony, zgorzkniały i przygnieciony cierpieniem. Ale obiecał sobie, że będzie silny, a to znaczy, że nie może poddawać się uprzedzeniom. Nigdy więcej.

Nagle przypomniał sobie, gdzie się znajduje i kto przed nim siedzi. Od razu spojrzął na Berema, szukając na jego twarzy śladów zniecierpliwienia. Jednak i on znalazł sobie najwyraźniej temat do rozmyślań. Kerr uśmiechnął się pod nosem. Zapomina o świecie jak ja, gdy nie pracuję. W końcu Berem również wyrwał się z rozmyślań. Spojrzenia gladiatora i przemytnika znów się spotkały. Jeszcze kilka sekund rozmowa pozostawała zawieszona.

W końcu wznowił ją Kerr.

— To, co powiedziałaś jest prawdą i nie będę się z tym sprzeczał. Pozwól jednak, że zapytam o jeszcze jedno: Dlaczego zostałeś gladiatorem?

— Nie miałem wyboru — Berem natychmiast wyraźnie spochmurniał.

— Jak to? — zdziwił się przemytnik.

— Widzisz, od młodości byłem dobrze zbudowany. A gdy osiągnąłem wiek młodzieńczy, zauważył to jeden ze smoczych entuzjastów walk gladiatorów. Pewnego dnia zostałem „zaproszony” na arenę. Smok stanął ze mną na jej szczycie, pokazał walczących w dole mężczyzn i kobiety i powiedział: Widzisz ich? To profesjonaliści. Są wśród nich mistrzowie nad mistrzami, ale ty pobijesz ich wszystkich. Zdaj się tylko na mnie, a uczynię cię niepokonanym. Będziesz mistrzem naszej areny. Pamiętam, jak odpowiedziałem wtedy: Ależ ja nie chcę być żadnym mistrzem! Mam bardzo chorego brata i muszę się nim zajmować. A istotnie musiałem to robić. Nasza znachorka, znaczy się z Kad’Silfara, bo stamtąd pochodzę, dała mi maści i zioła, którymi miałem kurować mojego brata. Od urodzenia był chorowity. A na kilka dni przed tym, jak smok wziął mnie na arenę, poważnie podupał na zdrowiu. Musiałem być przy nim, ale choć opowiedziałem to dwa razy, to pomimo moich błagań smok stwierdził tylko, że

zbyt wielką stratą byłoby zmarnowanie mojego talentu. Nie musiałem ćwiczyć, ale miałem obowiązek stanąć na arenie, w walce na śmierć i życie za dwa tygodnie. To były najcięższe dni w moim życiu.

Na przemian tylko ćwiczyłem, przygotowywałem lekarstwa i, co było konieczne, spałem. Na szczęście mój brat zaczął szybko zdrowieć. Nasza znachorka wiedziała, co robi. Zaoferował, że będzie mi pomagał, jak tylko może. Sprowadzało się to do tego, że przygotowywał strawę, bo cóż więcej mógł robić? Muszę jednak przyznać, że był niezrównanym kucharzem i miło wspominam te posiłki, ha, ha. Jedzenie tutaj nie jest złe, ale nie umywa się do tego, co robił mój brat — Berem zamilkł z uśmiechem wspominając stare czasy.

— A więc, jak się tu dostałeś? — spytał Kerr, ciekawy dalszego ciągu tej historii.

— Przeniesiono mnie.

— Przeniesiono? Dlaczego? Czyżby nikt nie był już w stanie ci sprostać?

— Niezupełnie — odrzekł nagle rozbawiony gladiator.

— Więc dlaczego?

— Otóż mój „opiekun” był dość rozrzutnym i raczej lekkomyślnym gadem. Załatwiał mi sporo walk, ale nigdy nie było to nic wielkiego, ani spektakularnego. Ludzie znali mnie i mówili o mnie, ale nie byłem ich ulubieńcem, jak to sobie zaplanował smok. W końcu zbankrutował i odsprzedał mnie tutejszym rządcom areny.

— Hm. Tyle cierpienia i niesprawiedliwości. Tyle wyrzeczeń. Wiesz, co? Twoja historia przypomina mi nieco moją. To jednak opowieść na inny wieczór.

— Rozumiem. I tak nie chciałem o nią pytać. Jeśli sam będziesz chciał mi ją opowiedzieć, to chętnie cię wysłucham, ale do niczego nie zmuszam. A co do cierpienia i niesprawie-

dliwości... Nie sądzisz, że kogokolwiek byś nie spytał o jego historię znajdziesz w niej do woli łez i gniewu? W mieście jednym żyje się gorzej, innym lepiej, ale, bynajmniej, nie oznacza to, że dobrze.

— Mhm. To przez te smoki. Nie mogłyby nas zostawić w spokoju? Życie byłoby o wiele łatwiejsze.

— Masz rację, ale przynajmniej na razie, musimy żyć, jak żyjemy — jęknął nostalgicznie Berem. — Może kiedyś to wszystko się zmieni...

— Nie sądzę — stwierdził krótko przemytnik. Przy ich stoliku znów zapanowała cisza. Mężczyźni zamówili jeszcze po kuflu kwasu i w milczeniu popijali spieniony trunek. Znów oboje zatopili w swoich myślach. Zadumani, w pierwszej chwili nie zauważyli przybycia kolejnego gościa...

Po całej karczmie poniosły się głośnie wiwaty, gdy do środka dumnie wkroczył Lor — mistrz areny, ulubieniec ludzi i smoków. Tunika ciasno opinała jego muskularne ciało, a symbole jego fachu — zestaw ciężkich, brązowych medalionów i przypięty do pasa krótki miecz, podskakiwały dziko, gdy przeciskając się w stronę lady żywo pozdrawiał swoich przyjaciół i wielbicieli. Mniej śmiałe kobiety prawie mdlały na widok żywej legendy, a te bardziej — powiedzmy — rozpustne, starały się naraz przedostać przez gęsty tłum i jak najlepiej wyeksponować swoje wdzięki.

Nieliczna garstka osób zareagowała mało entuzjastycznie na pojawienie się Lora — trójka ambitnych gladiatorów, zazdrosnych o jego chwałę, zawsze opanowana i chłodna, Wren oraz Berem i Kerr, którzy dopiero co otrząsnęli się z zadumy.

Wreszcie tłum wokół nowo przybyłego trochę się przerzedził, dzięki czemu mógł on dostać się do lady. Od razu zwolnił się jeden z taboretów, na którym gladiator bez

zwłoki usiadł.

— Ha! Jak tam interes, karczmarzu? Wygląda na to, że dobrze! Dawno tutaj takiego tłumu nie było.

— O tak, mistrzu Lorze. Interes jak zwykle idzie świetnie. Otworzyłem dziś beczkę nowego piwa. Może spróbujesz? Och, nie! Nie trzeba — wykrzyknął karczmarz, gdy gladiator sięgnął po sakwę. — Mistrz pije za darmo, jak zawsze. Twoja obecność tutaj wystarczająco rekompensuje tę niewielką stratę. Jesteś najlepszą reklamą jaką może poszczycić się całe Har'Shamats.

— Ha! Dzięki ci — odpowiedział Lor, podrzucając sakiewkę do góry. Gdy ją złapał, jej zawartość wydała miły dla ucha dźwięk miedzi uderzającej o miedź. — Ale miałem zamiar wydać przynajmniej część tych pieniędzy — po ladzie potoczyły się z brzękiem rdzawoczerwone krążki, a Lor odwrócił się do gawiedzi zebranej w karczmie i ryknął na całe gardło. — Piwo dla wszystkich moich przyjaciół w karczmie!

Zanim jeszcze gladiator umilkł zerwał się kolejny, jeszcze głośniejszy ryk wiwatującego tłumu. Gdy gawiedź przystąpiła do obłężenia szynku, Lor wziął swój kufel, pełen spienionego trunku i wygodnie rozsiadł się przy jednym ze stolików. Jego wzrok zaczął błędzić po karczmie, a na twarzy malował się wyraz beztroski, gdy nagle zauważył siedzących po drugiej stronie karczmy Kerra i Berema.

Przemytnika zaskoczyła dzika nienawiść, z jaką mężczyzna spoglądał w ich stronę. Zdawać by się mogło, że pojawiła się bez jakiegokolwiek powodu. Mistrz areny odwrócił od nich wzrok, dopił piwo w kilku głębokich łykach i ze złością odrzucił kufel na stół. Wyglądał tak jakby siłował się sam ze sobą. Po niespełna minucie wstał i wyszedł z karczmy.

— Cholera, patrzył się na mnie tak, jakby zastanawiał się, czy mnie nie zabić! — stwierdził podenerwowany Kerr.

— O co mu mogło chodzić? Chyba nie zdenerwowało go, że na niego patrzę?

— Pokazałeś, że jesteś dobry w prowokacji, ale nie aż tak — odpowiedział z ironią, lecz poważnym tonem Berem.

— Jemu chodziło o mnie. Wybacz, przyjacielu, ale muszę wyjaśnić pewną sprawę.

Nie mówiąc nic więcej Berem wstał, przycisnął się przez pełną ludzi izbę i wyszedł na pogrążone w mroku ulice.

Kirk leżał na mokrej macie. Duchota letniej nocy oraz gorączka wywołana chorobą wyciskały z niego siódme poty. Gdzieś z boku, przy świetle kaganka pani Tamara przygotowywała kolejne lecznicze wywary. Chłopiec bardzo chciałby posłuchać jeszcze jednej z jej historii — może znów by usnął i powrócił do tego fantastycznego świata z minionych lat? Chciał tylko oderwać się od tego ciągłego, pulsującego bólu głowy. Miał go już serdecznie dość, ale nie mógł zrobić nic, żeby się go pozbyć.

Mówił o tym rano Kalderii, ale ta z żalem odpowiedziała mu, że nie może podać mu więcej środków nasennych. Kirk zasypiał co kilka chwil płytkim snem, budząc się znów po upływie paru minut. Czuł się tak źle, był tak obolały jakby stoczył się właśnie po stoku na sam dół Har'Shamats.

Nagle, jakiś niespodziewany rumor przy drzwiach ściągnął uwagę Kirka. Chłopiec wolno przewrócił się na bok i podniósł na łokciu, aby lepiej widzieć, co się dzieje.

— O nie! Nie wejdiesz! Zrozumiano!? Chorzy ludzie śpią tutaj i nie będziesz im przerywał odpoczynku! — mówiła ostrym głosem Tamara, do jakiegoś potężnie zbudowanego przybysza, blokując mu przy tym wejście.

— Słuchaj, kobieto! Jestem gladiatorem i nie będziesz mi mówiła gdzie mogę, a gdzie nie mogę iść — odpowiedział napuszonym głosem nieproszony gość.

— A ja jestem znachorką i mówię ci, że żaden gladiator nie ma prawa przeszkadzać mi w pracy!

— Matko? Co się dzieje? — Kalderia poderwała się ze swojego posłania.

— Ten cymbał przyszedł tu w środku nocy, żeby pogadać ze swoim synem, jakby nie mógł zrobić tego w dzień! — rzuciła z nieukrywaną wrogością znachorka, gdy jej córka także poszła do drzwi.

— Uważaj na słowa, kobieto! — zagrział wielki przybysz. Widać było, że ani on, ani Tamara nie mają zamiaru ustąpić, dlatego też Kalderia postanowiła zadziałać, zanim sytuacja jeszcze się pogorszy.

— Matko, pozwól — zaczęła spokojnym, głosem. — Panie gladiatorze, moja matka ma rację. Większość chorych zażywa w tej chwili leczniczego snu. Przerwać go to zbrodnia. Pańskie dziecko też śpi, a z uwagi na to, że jest ciężko chore...

— Tato!

Wykrzyknął nagle słabym głosem Kirk. Kobiety odwróciły wzrok od mężczyzny i zwróciły go na chłopca. Wyglądało na to, że Tamara miała zamiar udzielić mu reprimendy, ale zanim zdążyła, przybysz, nie czekając już na niczyją zgodę, przepchał się między kobietami, rozsuwając je łatwo jak łodygi tataraku i zbliżył się do chłopca. Gdy przykucnął koło niego, wątły blask kaganka oświetlił dobrze mu znajomą, okrągłą, bezwłosą twarz i wytatuowanego na niej czarnego smoka, który w migotliwym świetle wyglądał jakby się wił i skręcał na lewym policzku Lora, ojca Kirka.

— Witaj, tato — powiedział jeszcze raz chłopiec, jakby nie był pewien, czy ojciec usłyszał go.

— Cześć, maluchu! — odpowiedział Lor, czochrając włosy malca.

— Przyniosłeś mi prezent, tato? Obiecałeś! — kontynuował Kirk, zapominając nagle o chorobie.

— A byłeś grzeczny? Bo nie jestem pewien, czy zasłużyłeś sobie na prezent.

— Byłem, byłem, prawda, pani Tamaro? Kalderio?

Obie kobiety stały kilka kroków za Lorem i przyglądały się rozmowie z minami, których przy najlepszych chęciach nie dało się nazwać zadowolonymi. Pomimo pytania Kirka milczały cały czas. Gladiator i jego syn albo się tym wcale nie przejęli, albo uznali to za znak aprobaty.

— Ha! Dobrze, mały. Proszę, to dla ciebie — Lor ściągnął z pleców nieduży, skórzany futerał i wyjął z niego miecz! I to nie była podróbka, ale prawdziwy, brązowy, kuty, miecz. Kirk nie posiadał się z radości. Natychmiast poderwał się chwiejnie, co uszło uwadze ojca, ale nie znaczonek i chwycił podarunek.

— Tato, dzięki! To jest niezwykle! Miecz jest naprawdę mój?

— Tak, mały, wyrastasz na prawdziwego mężczyznę, więc powinieneś mieć swój! A teraz pokaż mi, jak nim walczysz!

Malec chwycił miecz oburącz i zamachnął się nim z całych sił. Wyglądało jakby miecz nagle przejął kontrolę nad małym chłopcem, i ten wyraźnie stracił równowagę. Lor roześmiał się serdecznie na to widowisko i gestem zachęcił chłopca, aby ten kontynuował. Kobiety jednak nie podzielały jego entuzjazmu. Tamara szybko podeszła do Kirka, złapała go i groźnym wzrokiem omiotła dziecko wraz z ojcem:

— Dość już tego! Chłopiec jest chory i nie może tak szaleć. Nagle, jak na potwierdzenie jej słów Kirk zachwiał się i upadł na swoje posłanie. Lor zbliżył się nieco do niego, zaniepokojony zasłabnięciem swojego syna. Wtedy, w słabym, pomarańczo-

wym świetle zobaczył na jego ramieniu sine plamy.

— Te siniaki... Wygląda jakby go ktoś pobił — powiedział ni to do siebie, ni to do znachorek.

— To objawy choroby — tłumaczyła w dalszym ciągu spokojnie, lecz już z wyraźną nutą irytacji Kalderia. — Nie ma obaw, wykurujemy go, ale potrzeba mu dużo snu, więc proszę się już pożegnać i zostawić go w spokoju.

— Jakich czarów potrzeba, aby walczyć z czymś, co siniaczy, ale samemu tego nie można zranić? — wyjąkał gladiator.

— Nie potrzeba żadnych czarów. I dobrze, bo ludzie ich nie mają. Trzeba tylko ziół i odpoczynku. Proszę, już czas na pana, gladiatorze.

Gdy Kalderia odprowadzała Lora do drzwi, Tamara okryła dokładnie Kirka kocem i ułożyła go delikatnie na posłaniu. Chłopiec tęsknym wzrokiem śledził ojca, aż ten nie zniknął na ulicy.

— Ależ z twojego ojca uparty osioł, a ty nie jesteś lepszy, chłopcze. Wykapany tatuś. A teraz śpij i zdrowiej, bo nie chcę mieć więcej do czynienia z twoim ojcem. Zrozumiano? — Znachorka zgasiła kaganek i sama położyła się spać. Kirk zamknął oczy. Nie czuł już takiego bólu. Teraz naprawdę chciało mu się spać. Może przyśni mu się, że walczy swoim nowym mieczem, jak tata i ludzie wiwatują na jego cześć.

Kirk zasnął.

Lor szedł wolno pustymi ulicami wyższego miasta. Przez umysł przewijały mu się różne myśli.

— Ach ten Kirk. Jak to się stało, że jest taki słabowity? Musiał wdać się w matkę, bo na pewno nie we mnie.

Matka Kirka była dziewczką karczemną, należy dodać

wyjątkowo urodziwą. Choć Lor gustował raczej w silnych gladiatorkach, to jednak nie mógł oprzeć się urokowi tej dziewczyny. Ich krótki związek zaowocował pierwszym dzieckiem Lora — Kirkiem.

Cóż, ma chociaż zapał do walki. I nie tylko. Może lepiej go oddać na praktyki do znachorek? Dobrze by było mieć takiego zaufanego znachora, który by w pierwszej kolejności myślał o gladiatorach. Za dużo nas ginie i traci kończyny przez jątrzące się rany. A poza tym, znachor to bardzo dobry zawód — szanowany.

Lor szedł dalej. Jeszcze nie wiedział dokąd zmierza — szedł przed siebie, cały czas myśląc o najróżniejszych sprawach.

Swoją drogą te znachorki są całkiem urodziwe. Nie wyglądają też na żadne chuchra. Może byłoby z nich jakieś krzepkie dziecko? Tylko która jest lepsza? Chyba córka, bo matka za bardzo zadziera nosa. Nim zajmę się kolejnym dzieckiem, niech pierwsze wyzdrowieje.

Kirk. Taki młody i wydawać by się mogło, że taki słaby, a już toczy prawdziwą walkę. I to jeszcze z kim! Z niewidocznym wrogiem. Cóż za szczęśliwiec... Nie to, co ja.

W spokojnym dotąd Lorze znów zaczęła wzbierać wielka, wprost zwierzęca złość. Berem! Jak oni śmieli mi to zrobić?! — nienawiść powoli wypełniała gladiatora.

Już dostateczną obrazą była dla niego sama obecność tego... Przybłądy. Berem zaniedbywał treningi. Prawie nie pojedynkował się, a jeżeli już, to z nowicjuszami. I cóż, wygrywał. Aż takim nieudacznikiem to on nie był. To jednak nie wszystko. Wyglądało na to, że Berem w ogóle nie poczuwał się do bycia gladiatorem. Nosił się jak mieszcuch, nawet na arenie. Poza tym wołał ich towarzystwo od towarzystwa gladiatorów. I na koniec, jakby tego jeszcze nie było

dość, to ten nędznik śmie podważać tradycję i etos gladiatora! I to publicznie, gdy on, mistrz areny, wielki, niepokonany Lor Bronzeheart, stara się go wpoić młodzikom.

— To jest już doprawdy niewybaczalne! — pomyślał.
— Chciałbym mu dać bolesną nauczkę, lekcję, którą zapamięta do końca życia, chciałbym wbić mu do głowy choć trochę rozumu, choćbym miał do tego użyć buzdyganu! Ale nie na Wielkich Igrzyskach! To nie będzie dla niego kara, tylko nagroda! Gdy będę z nim walczyć, gdy w końcu polegnie, wyniosą go do mojej chwały. Dlaczego? Skąd taka niesprawiedliwość?!

Głośne kroki Lora niosły się echem po kotlinie. Zwracały one na gladiatora uwagę smoczycich wartowników, ale nie starali się oni go zatrzymać. Ludziom z wyższego miasta wolno było swobodnie poruszać się po całym Har'Shamats, niezależnie od pory dnia lub nocy. W pewnym momencie do kroków Lora, dołączyły jeszcze jedne, bardzo pośpieszne. Zamyślony gladiator zdał sobie z tego sprawę, dopiero gdy usłyszał znieprawdopodobny przez siebie czysty, spokojny głos Berema.

— Ejże! Lor, mistrzu! Poczekaj!

— Czego chcesz? — odwarknął mistrz areny.

— Chciałem tylko chwilę z tobą porozmawiać — odpowiedział spokojnie Berem, nie zwracając uwagi na ton rozmówcy. Ten jednak nie dał się udobruchać.

— Nie ma o czym — odfuknął, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w dół wąskiej ścieżki wyższego miasta.

— Lor! Poczekaj że chwilę, mamy do rozmawiania!

Zawołał raz jeszcze gladiator. Bez skutku. Lor oddalał się coraz bardziej, aż wszelka nadzieja na zawiązanie rozmowy opuściła Berema. Cóż więcej mu pozostało? Chyba tylko odwrócić się w drugą stronę i udać się do siebie, do domu.

Wkrótce obaj rozplłynęli się w cieniach uśpionego miasta.

Wszystko, co się działo w tej części Orbis, a zwłaszcza w Mieście-klatce, zwanym w języku smoków Har'Shamats było obserwowane. Hen w górze, zza zasłony ciemnych jak smoła chmur, co chwila wyglądała blada twarz nieustannego obserwatora. To księżyc w swojej niezmierzonej ciekawości, zwyczajem starym jak świat, podpatrywał życie na ziemi.

Jak zawsze miał co oglądać, zwłaszcza teraz, gdy podjęta została decyzja, że obecny porządek rzeczy musi się zmienić. Raz jeszcze objął wzrokiem wszystkich tych, którzy według planu odegrają największą rolę w nadchodzących wydarzeniach: na potężne, skrzydlate gady — królów przestworzy i magii. Na lud brodatych karłów, ukrytych w kolosalnych fortcach, stworzonych w samych trzewiach ziemi, z ich królem w koronie wysadzonej setką klejnotów. Na bystrookie elfy w ich zielonych azylach, ukrytych w najdzikszych puszczech, oraz na zniewolone ludy północy, żyjące w ciągłym strachu, skazane na życie w smoczycach miastach... Na gladiatorów, na mieszczan, na inteligencję... Na nieustraszonego wojownika, który uwielbił honor i tradycję, nad rozum i serce, na dwójkę łotrzyków, mistrzów swojego fachu, jedynych, którzy odważyli się choć trochę wystąpić przeciw tyranom, na matkę i córkę, powierniczki wiedzy, prawdy i sztuki, których nauki zostały jednak zabronione, a one same przymuszone do milczenia, na samotnego wędrowca, wygnańca i wolnego zarazem, którego siła jest przekleństwem, zwierzę i człowieka w jednym ciele...

Jednak dość już tego. Nadszedł czas, aby raz jeszcze pomówić o tym, co i jak ma zostać zrobione. Gdy czarne kłęby chmur znów przysłonił księżyc, jego duch oderwał się od niego i zstąpił na ziemię. Spłynął niewidoczny do

ciemnego lasu i podążył razem z wiatrem na wschód. Mknął między drzewami, aż znalazł miejsce, którego szukał: polane skąpaną w szarości jutrzni — miejsce, gdzie spotykają się dzień i noc.

Gdy wyłonił się z lasu, nie był bezpostaciowym duchem — przyoblekł się w długi, ciemnogrnatowy płaszcz z kapturem z materiału delikatniejszego, niż wszystko, co człowiek stworzył do tej pory i stworzy kiedykolwiek. Kaptur nienaturalnie zacieniał jego twarz, tak, że nie sposób było zobaczyć żadnego jej konturu, lecz mimo tego w tym mroku mieniły się malutkie isierki białego światła, jak gwiazdy na nocnym niebie. Tam, gdzie powinny być oczy postaci, co jakiś czas pojawiały się dwa srebrzyste koła, które potem powoli zwięzały się w sierpy, znikwały w zupełności i znowu wyrastały do pełnych rozmiarów.

Stanął na zachodnim krańcu polany. Nie był sam. Po drugiej stronie czekał ktoś jeszcze. Wyglądał do niego bardzo podobnie, a zarazem zupełnie inaczej. Też ubrany był w płaszcz, ale w kolorze lazuru nieba z białymi smugami, które zdawały się powoli płynąć po jego powierzchni. Choć nie zakrywał twarzy kapturem, ta i tak nie była widoczna. — Jego oblicze promieniowało niezwykłym blaskiem, który raził oczy jak słońce w południe. Gdyby przymrużyć powieki i osłonić je dłonią, można by zauważyć najwyżej bezkresny błękit jego oczu, oraz falujące na niewyczuwalnym wietrze złociste włosy.

— Spóźniłeś się — zaczął rozmowę Świetlisty.

— Owszem, ale naszego trzeciego brata też jeszcze nie ma — odpowiedział mu Cienisty.

— On jednak miał swoje obowiązki. Ty zaś, najzwyczajniej w świecie zlekceważyłeś termin. Co nie jest dla ciebie rzeczą nową.

— Jakież ma znaczenie te kilka minut? Czasu mamy dość.

— My może tak, ale ludy świata nie.

W tym momencie rozmowa urwała się na chwilę, gdyż przybył ostatni z braci. Jego ciało skrywała zbroja koloru polerowanego brązu. Był to dziwny pancerz. Był tak szczelny, że zasłaniał każdy skrawek ciała przybysza. Musiał być niezwykle ciężki, jeśli rzeczywiście był wykonany z brązu. Nowo przybyły mógłby uchodzić za zwykłego człowieka. Mógłby, gdyby nie sączące się z każdej szczeliny w jego pancerzu migotliwe, ciepłe światło jakby w jego wnętrzu paliły się dziesiątki świec i kaganków.

— Witajcie, bracia — pozdrowił zebranych Brązowy, głosem mocnym, ale zarazem ciepły i spokojnym. — Czy zaczęliście już rozmowę, dla której się tu dziś zebraliśmy?

— Nigdy bez ciebie, bracie — odpowiedział mu Świetlisty.

— Skoro się pojawiłeś, możemy ją jednak rozpocząć. Jak mają się sprawy na północy?

— Ludzie północy nie są jeszcze całkiem gotowi do upomnienia się o swoje prawa. Chyba nawet nie myślą już o prawdziwej wolności. Są jednak wśród nich tacy, którzy potrafiliby przypomnieć o niej pozostałym. Mogą pokierować swoim ludem ku lepszej przyszłości — odpowiedział Brązowy.

— Jesteś pewien, że temu podołają? I, że w ogóle się tego podejmą? — dopytywał się Świetlisty.

Odpowiedź nie nadeszła jednak od pytanego, ale od Cienistego.

— Obserwowałem ich i niestety muszę powiedzieć, że sami do niczego nie dojdą.

— Co? — zachnął się Świetlisty. — Miałeś obserwować dalekie południe. Czyżbyś zaniedbywał swoje obowiązki?

— Już je wypełniłem! Na południu nie dzieje się nic, co wymagałoby interwencji ani nawet obserwacji i nie będzie się działo jeszcze przez lata!

— Skąd możesz być taki pewien? — zapytał z wyrzutem Świetlisty.

Wtedy Brązowy postanowił wystąpić w roli rozjemcy.

— Bracia, nie kłóćmy się — wtrącił uspokajającym tonem. Następnie zwrócił się do Cienistego.

— Wiemy, że jesteś z nas najbystrzejszy. Najlepiej umiesz obserwować to, co się dzieje na ziemi, i najtrafniejsze wyciągasz z tego wnioski — przerwał na chwilę, aby dać się wypowiedzieć Świetlistemu. Ten jednak skinął tylko głową na znak zgody.

— Dlatego też podziel się z nami swoimi myślami — Cienisty przez chwilę pomyślał, po czym wyraził swoją opinię.

— Sami do niczego nie dojdą — powtórzył. — Zbyt długo są w niewoli i nie wyobrażają sobie, jak mogliby żyć bez swoich ciemnych braci. Wolności nie pamiętają nie tylko oni. Nie znali jej ich ojcowie, matki, dziadkowie i babki, pradziadkowie i prababki, a nawet dziadkowie ich pradziadków. Ta niewola trwa już dziesiątki dekad. I nie widać jej końca. Poza tym niektórzy z tych, których obserwujemy, nie są jeszcze gotowi, aby poprowadzić swój lud lub choćby stanąć u jego boku. Żyją mamieni własnymi kłamstwami.

— W takim razie trzeba działać — stwierdził bez entuzjazmu Świetlisty.

— Obawiam się, że tak — pochmurnie odrzekł mu Cienisty. Brązowy milczał i choć cała jego twarz zakryta była wypolerowaną przyłbicą, to i tak można było wyczuć, że podzielał nastroje swoich braci.

— Nie miało do tego dojść. Nie w tak wielkim stopniu — wyszeptał w końcu.

— Ale żaden lud nie miał też mieć takiej władzy nad innymi. Bracie — zwrócił się znów do Cienistego — powiedz raz jeszcze, jak wyglądałaby najbardziej prawdopodobna przyszłość, gdybyśmy nic nie zrobili? — Cienisty zapatrzył się

w dal, jakby mógł tam zobaczyć spisane losy Orbis.

— Ci, którzy mogą coś zmienić, zestarzeją się i w końcu umrą. Najprawdopodobniej wydadzą na świat dzieci, które być może też będą miały w sobie ich potencjał. Nawet jeśli nie, to znajdą się inni, którzy będą go posiadać. Ale sami go nie wykorzystają. I też się zestarzeją, i umrą. Może wydadzą na świat dzieci... I tak ten cykl będzie się powtarzać przez dziesiątki dekad, aż w końcu chęć wyzwolenia zniknie, bo pamięć o wolności maleje w każdym kolejnym pokoleniu. Ciemnyżyciele tymczasem będą rosnąć w siłę, aż staną się na tyle silni, że żaden lud się im nie oprze. Resztki wolności zachowają ci, którzy wystarczająco dobrze się ukryją. Powstanie ogólnoswiatowe imperium. W końcu i ono padnie, ale to przyszłość tak daleka, że sam nie mogę sobie tego wyobrazić. Jest jeszcze czas i nadzieja. Wolne ludy nie śpią. W tej chwili obmyślają kolejną akcję przeciw ich wrogom. Właśnie teraz nasz plan ma największe szanse na powodzenie.

Gdy Cienisty skończył mówić, bracia przez chwilę stali w milczeniu, myśląc nad tym, co usłyszeli. Ciszę przerwał głos Brązowego.

— A co w centrum? Jakikolwiek promyk nadziei dla północy?

Świetlisty pokręcił przecząco głową.

— Żadnego. Centrum ma swoje problemy, które mogą niedługo stać się jeszcze poważniejsze niż to, z czym mamy do czynienia tutaj. Coś... Zakłóca wędrówkę dusz.

— Jak to możliwe? — zapytał Cienisty wyraźnie zmartwiony tym, co usłyszał.

— Nie wiem. Muszę zbadać to zjawisko dokładniej. Później.

— Na polanie znów zapadło milczenie. Bracia skierowali swe spojrzenia ku południu. Wreszcie Świetlisty po raz kolejny zabrał głos, ściągając na siebie uwagę braci.

— A teraz w sprawie północy. Myślę, że według praw i obowiązków, jakie zostały nam powierzone, nie możemy pozostawić świata samemu sobie. Musimy działać, choć będzie to poważna ingerencja w sprawy ludów.

Cienisty przytaknął skinięciem głowy.

— Tak jak bezgranicznie ufam zdolnościom naszego trzeciego brata do przewidywania przyszłości, tak tobie ufam, gdy chodzi o interpretowanie naszych praw i wyznaczenie granic, których nie możemy przekroczyć. Jeśli mówisz, że plan wymaga realizacji, to podejmijmy się go — dodał Brązowy.

— Mówię to z bólem, ale tak trzeba. Bracia, przechodzimy do realizacji planu. Rozejdźmy się i powróćmy do naszych zajęć.

Polana natychmiast opustoszała. Po rozmawiających nie pozostał żaden ślad. Nawet zdawać by się mogło, ciężka, brązowa zbroja nie pozostawiła odcisków w miękkim podłożu. Niebo nad polaną powoli się przejaśniało.

Wstaje nowy dzień.

Rozdział III

Niebawem igrzyska

Życie w Mieście-klatce nabierało tempa przed Wielkimi Igrzyskami. Wszędzie dało się wyczuć narastającą z dnia na dzień aurę niecierpliwości. Niemal wszyscy byli podekscytowani. Już od paru dni powszechnie wiadomo było, którzy gladiatorzy wezmą udział w igrzyskach. Nie wiadomo jednak, kto z kim będzie walczył, dlatego też wielu ludzi starało się jakoś wydobyć tę informację, często nie licząc się z jej ceną.

Nie byli to wyłącznie niecierpliwi mieszczanie. Liczni gladiatorzy mieli nadzieję poznać swojego przeciwnika na tyle wcześniej, aby móc go poobserwować i przygotować skuteczną strategię walki. Oczywiście niewielu informatorów miało naprawdę pojęcie o tym, co mówi. Kolejność walk, jak i to, kto z kim będzie walczył, ustalała wąska grupa smoków, która aż do ostatecznego momentu rzadko dzieliła się swoimi planami nawet z pobratymcami, a co dopiero z ludźmi.

Jedną z największych zagadek obecnych igrzysk był przeciwnik mistrza areny. W tym wypadku trudno było nawet spekulować. Lor pokonał bez większych problemów wszystkich swoich dotychczasowych przeciwników. Nie straszne mu były ani najdziksze bestie, ani najlepiej wyćwiczeni gladiatorzy. Jego najtrudniejszym przeciwnikiem był poprzedni mistrz, nad którym i tak podczas walki miał widoczną przewagę. A od tamtego momentu stał się jeszcze lepszy.

Ludziom znudziło się już czekanie. Przypatrywali się

ćwiczącym faworytom w każdej wolnej od pracy chwili. Przez dwa dni mury na skraju dwóch najniższych poziomów Har'Shamats oblegał nierzednący tłum, spragniony choć najmniejszej namiastki igrzysk. Gladiatorzy natomiast, chcąc nie chcąc, dawali im przedsmak nadchodzącego widowiska. Musieli ćwiczyć, jeśli chcieli żyć. Południowe słońce prażyło ich półnagie ciała, gdy bez wytchnienia pojedynkowali się, wzniecając z dna areny kłęby piachu i pyłu. Wśród walczących przewijała się potężna sylwetka Lora, walczącego aktualnie z jednym z najmłodszych gladiatorów.

Cios, blok. Cios, blok. Unik. Cięcie. Sztych. Mistrz areny walczył mechanicznie. Młodzik, z którym ćwiczył, był na tyle niedoświadczony, że Lor ledwo myślał o tym, co robi. Cały jego umysł pochłaniała jedna myśl: Dlaczego?

Bez namysłu parował ciosy przeciwnika. Grand walczył wielkim mieczem — orężem, które ostatnimi czasy zyskiwało na popularności dzięki imponującym rozmiarom. Większe wrażenie mógł robić chyba tylko jeszcze większy i poprawnie go dzierżący gladiator.

Póki co Grand do takich nie należał. Był jeszcze młody. Trójkątną twarz pokrywał lekki, szpecinowaty zarost, a gęste, długie do połowy szyi włosy latały na wszystkie strony, gdy walczył. Przez grubą warstwę pyłu zmieszanego z potem tylko kilka pasemek przebijało kasztanowym brązem, spod gliniastej pokrywy. Grand był dobrze zbudowany, choć szczupły. W porównaniu do Lora prezentował się jednak niepozornie. Nie poruszał się też tak płynnie. Nie potrafił wykorzystać jeszcze pełnego potencjału swojej broni ani swojego gibkiego ciała.

Raz za razem powietrze przecinało ostrze miecza. Nie mogło jednak dosięgnąć Lora, chronionego przez drzewce swojej broni, na którą wybrał dziś kosę z profilowanym

trzonkiem i postawionym na sztorc ostrzem. Mistrz umiejętnie odbijał cięcia tak, że nie niszczyły drzewca jego broni. Gdyby Lor myślał o walce, a raczej gdyby na poważnie podszedł do treningu, Grand już dawno zostałby pokonany. Jego myśli jednak od trzech dni krążyły wokół nadchodzących Wielkich Igrzysk i niesprawiedliwości jaka go dotknęła. Gdy zadawał cios w myślach krzyczał: Jak oni mogli! Gdy parował zadawał sam sobie pytanie: Kto tak postanowił?

Było przecież tylu doświadczonych gladiatorów, z którymi mógł stoczyć godny pojedynek. Tu, zaraz koło niego ćwiczył na przykład Jewel, chłop rosły i potężny jak tur, dzierzący wielki, obosieczny topór. Dalej był Klindar, mistrz dwóch mieczy, zwinny i zabójczy jak pantera. Walczył z Lane — równie wybitną wojowniczką, wywijającą buzdyanem i osłaniającą się tarczą. Było ich jeszcze wielu, wielu innych, ale jemu nie przypadł zaszczyt walki z którymś z nich. O nie! On ma walczyć z jakimś renegatem, nie wiadomo skąd, bez honoru, bez tradycji. Z wyrzutkiem, nie mającym nawet krzty poczucia obowiązku, który kazałaby mu stawić się na dzisiejszym treningu!

Nagle gwałtowny atak Granda przywołał Lora z powrotem na arenę. Chciał odbić miecz i jednocześnie odskoczyć na bok, ale nagle ostrze zmieniło trajektorię i uderzyło w udo Lora. Nim parę czerwonych kropeł padło na piach, miecz raz jeszcze zatańczył w powietrzu i zawisł nad barkiem mistrza. Kilka walczących najbliższej par oniemiało z wrażenia. Mistrz areny pokonany przez takiego młodzika? Zaskoczony był również Lor, ale na najbardziej poruszonego wyglądał sam Grand. Jego błękitne oczy były tak wybałuszone, jakby miały zaraz wytoczyć się z oczodołów. Jęknął cicho, prostując się i chciał chyba coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Mistrz areny otrząsnął się i roześmiał swoim tubalnym głosem.

— Brawo, młodziku. Nie doceniłem cię i dałem się zaskoczyć. A ty sprawnie to wykorzystałeś. Jeszcze raz brawo, jestem pod wrażeniem.

— Dziękuję, mistrzu Lorze — odpowiedział lekko drżącym głosem młody gladiator.

— Powiedz mi, jak udało ci się zadać taki wspaniały cios?

— To mistrz Berem mnie tego nauczył.

— Berem? — powtórzył ciszej i z mniejszym entuzjazmem Lor. — O ile mi wiadomo, Berem nie jest żadnym mistrzem.

— No, tak. Tutaj nie, ale tam, skąd pochodzi był ponoć najlepszy.

— Czort jeden wie skąd on pochodzi, i kim był. Ja wiem tylko, że jest i będzie nikim, dopóki nie pokaże na co go stać — rzucił mistrz, odwracając się do najbliższej krawędzi areny.

— Ale...

— A jak dotąd unikał tego jak tylko mógł.

Lor oddalił się od Granda i reszty walczących. Skrył się przed słońcem w niszy wykutej w skale klifu. Odłożył swoją broń do stosu włóczni, trójzębów i giewii, opartych o skałę i chwycił leżące w cieniu wiadro z wodą. Łyknął i splunął.

— Ech, paskudnie ciepła.

— Może coś na to poradzę? — fala piasku omiotła Lora, gdy na arenie lądował wielki, biały smok. Lord Batdarios podszedł bliżej do gladiatora, zanurzył koniuszek pazura w wodzie i zaintonował: *Frigidus vernias. Marnus meras awstulir caloar*. Natychmiast po jego łapie do wiadra spłynęły błękitne strumienie. Dało się słyszeć dziwne skrzypienie, a gdy umilkło, połowa wody była zamrożona.

— Dzięki, lordzie Batdariosie — podziękował gladiator, po czym przechylił wiadro do ust i powoli sączył lodowatą

wodę. — Tego mi było trzeba. Od razu czuję się lepiej.

— Może na ciebie tak — smok rozsiadł się wygodnie na ziemi i rozpostarł szeroko skrzydła, aby łapały jak najwięcej światła. Dopiero wtedy pochylił łeb tak, aby znajdował się naprzeciw głowy gladiatora, — lecz z pewnością coś dolega twojemu duchowi. Widać to, gdy walczysz. I to nie od dzisiaj. Od jakichś trzech dni nie możesz się skoncentrować. Nie próbuj mi wmówić, że nie. O co chodzi, mój mistrzu?

— Widzisz, lordzie — Lor zniżył głos — nie rozumiem, dlaczego mam walczyć z Beremem. To nie jest dla mnie godny przeciwnik.

— Ach, więc to cię niepokoi tyle czasu — odpowiedział Batdarios, również zniżając głos. — Powiedz mi, dlaczego uważasz, że Berem nie jest dla ciebie odpowiednim przeciwnikiem?

— Prawie nigdy nie ćwiczysz z innymi. Unika pojedynków, podczas walk trzyma się z tyłu. Kwestionuje naszą tradycję. Woli towarzystwo zwykłych mieszczan od gladiatorów! Zachowuje się jakby się wstydził, kim naprawdę jest. Ha! Też bym się wstydził, gdybym był takim krnąbrnym, tchórzliwym głupcem, jak on — Lor wreszcie wyrzucił z siebie wszystkie wątpliwości, jakie się w nim zrodziły. Z każdym słowem narastał w nim gniew, ale gdy już skończył, po raz pierwszy od kilku dni znów wróciła mu pewność siebie. Od dawna nie czuł się tak dobrze. — Który smok w ogóle o tym zdecydował?

— Ja — padła krótka, lecz dosadna odpowiedź.

— C...Co? — zająknął się zaskoczony gladiator. — Ale dlaczego? Lordzie?

— Widzisz, nie wiem, jakie zwyczaje panują na arenie w Kad'Silfara, skąd go przeniesiono i nie interesuje mnie to szczególnie. Może po prostu tamtejsi gladiatorzy nie są tak

honorowi jak wy? Nieważne. Kupiec, który mi go odsprzedał, zarzekał się, że Berem jest naprawdę dobrym wojownikiem.

— I to tyle? Chyba go wypróbowaliście, prawda?

— Owszem.

— I co?

— Kupiec nie miał racji. Berem nie jest dobry.

— Więc dlaczego...?

— Poczekaj, nie skończyłem — smok zgał gladiatora.

— Otóż on wcale nie był dobry. Był wprost fenomenalny. Wytrzymał na arenie blisko kwadran z królewskim skolopem. I praktycznie nie doznał przy tym ran.

— Naprawdę? — spytał z niedowierzaniem Lor. — Niebywałe. Jeżeli to prawda, to Berem rzeczywiście musi być nie lada wojownikiem i... Zaraz! Z królewskim skolopem? My mamy na arenie królewskiego skolopa?!

— Ciszej! Dajesz się za bardzo ponosić emocjom i ściągasz na nas za dużo uwagi — smok powiódł groźnym spojrzeniem po pobliskich gapiach, którzy natychmiast wrócili do swoich zajęć. — A wracając do twojego pytania. Tak, mamy. Ci którzy nie zostali wybrani do walk z innymi gladiatorami, będą z nim walczyć. Wiesz, w charakterze gry wstępnej.

— Co? Ale oni są jeszcze niedoświadczeni. Do tej pory młodziki nigdy jeszcze nie walczyły z takim przeciwnikiem!

— Tak, lecz te igrzyska będą wyjątkowe. Będziemy gościć smoki z wielu gniazd. Chcemy wypaść jak najlepiej. Pomyśl sobie, jakie to będzie widowiskowe.

— Tak, widowisko będzie niebanalne. Tylko, jeśli nie wyślecie do walki przynajmniej ośmiu, to nie wiem, czy chociaż połowa wróci do domu.

— Nie martw się o to. Zaplanowaliśmy wszystko dokładnie.

— Dobrze... Wracając do Berema. Mogę zrozumieć, że nie stosuje się do kodeksu i nie szanuje tradycji. Dlaczego, skoro

jest taki zdolny, unika walki, nie trenuje z innymi?

— Ten młodzik. Ten, który cię pokonał. Wiesz, że Berem uczył go trochę? Pokazał parę sztuczek.

— Tak, wiem o tym. A pokonał mnie, bo mnie zaskoczył.

— Właśnie! Zaskoczył — powiedział Batdarios, podkreślając ostatnie słowo. — A więc, skoro uczeń pokonał cię przez zaskoczenie...

— To mistrz może mieć takie same plany! Tak! Teraz to ma sens. Tylko skąd się dowiedział, że będzie ze mną walczył?

— Dlaczego wydaje ci się, że on to wie?

— Bo mnie najbardziej denerwuje.

Tubalny, niepohamowany smoczy śmiech zdawał się trząść posadami areny. Wiele osób z niepokojem, a nawet paniką spoglądało na lorda.

— Nie. To raczej ty się najbardziej denerwowałeś — smok znów mówił niewiele głośniejszym niż szepczący człowiek. — Zauważ, że wszędzie, gdzie by się nie pojawił, starał się być postrzegany jako niegroźny i nieskory do zwady.

— Tak, pewnie znowu masz rację. Ale na wszelki wypadek sprawdzę to. Poszukam go. Pewnie siedzi teraz w karczmie. Zagadam, może coś z niego wyciągnę — powiedział entuzjastycznie Lor.

— No! Wreszcie jesteś dawnym sobą, smokiem w ciele człowieka — pochwalił go Batdarios.

— Dziękuję za twe rady, lordzie. Do zobaczenia.

Lor pokłonił się szybko białemu smokowi i popędził w kierunku wyjścia z areny. Batdarios przez chwilę śledził go wzrokiem. W końcu podniósł się ciężko i spojrział z niechęcią na górujący nad miastem szczyt.

Trzeba już wracać do domu, przywitać gości. Aktualnie na arenie walczyło zbyt dużo ludzi, żeby mógł wzbić się w powietrze. Trzeba więc pomóc sobie magią. Batdarios

przeniósł ciężar na tylne łapy, powoli stając na nich. Zaś przednimi zaczął kreślić w powietrzu tajemne symbole. Dało się słyszeć magiczną inwokację. *Ertias subiecta spatio Magicor. Distas superior un momentum. Velosus vento, velos ur cogitus. His fus. Nors sur. Sur alios locus.* Wokół smoka pojawiły się rozbiegane błękitne światełka i zaraz potem ogromy gad zniknął w lazurowym rozbłysku.

Publiczność zebrana przy krawędziach dwóch najniższych kręgów przestała interesować się trenującymi gladiatorami i gromkimi oklaskami nagrodziła efektowne zejście smoka. Od razu nawiązały się gorączkowe rozmowy na temat wspaniałej smoczey magii. Od wciąż rosnącego tłumu ode-rwała się rudowłosa dziewczyna, ubrana w kremową długą tunikę.

— Ach ci ludzie — westchnęła z rezygnacją Kalderia — wystarczy trochę krwi, świateł i magii, aby myśleli, że wiedzie im się dobrze. Dodać do tego jeszcze alkohol, to już zupełnie zapominają, że są nikim więcej niż niewolnikami — skarżyła się na głos.

Co jakiś czas jej wzrok przebiegał po rozstawionych przy domach kramach. Szukała kilku rzeczy potrzebnych w jej pracy. Nie mogła jednak znaleźć znajomego kupca, od którego zwykle je nabywała.

— Tylko czy można im to mieć za złe? — zatopiła się znów w rozmyślaniach. Przecież ich historia została im odebrana. Nasza historia. Tylko my zachowujemy o niej pamięć. To frustrujące! Nie wolno nam uczyć dorosłych. Czas na lekcje dla dzieci jest ograniczony. Nie mamy go wystarczająco, żebyśmy mogły przekazać im naszą tradycję i dzieje

sprzed panowania smoków. Powoli zatracamy się w niewiedzy. Ale przecież im to pasuje. Nie chcą znać swojej przeszłości.

Znachorka zatrzymała się i jeszcze raz popatrzyła na swoich rodaków. Bardzo chciała, żeby zrozumieli co się z nimi stało. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wygłosiła kolejną reprimendę.

— Nie chcecie tradycji. Pijecie tylko i staracie się zarobić, żeby móc wypić więcej. Skąd ten dekadentyzm? W którym momencie przestało wam zależeć...

— Jak dla mnie, to dość proste.

Kobieta odwróciła się natychmiast. Obok niej stał niewysoki, chudy mężczyzna, ubrany w dobrze skrojone, długie płócienne spodnie i lekką tunikę z tego samego materiału. Czarne, sięgające ramion włosy mieniły się w słońcu jak pióra kruka. Zdezorientowana Kalderia zapytała tylko:

— Słucham?

— Nie wiem, czy wiesz o tym, pani, ale przed chwilą zadałaś ciekawe pytanie.

— Naprawdę? — znachorka zarumieniła się. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wypowiadała swoje myśli na głos. — Mam tak, gdy się zamyślę.

— Nie musi się pani tłumaczyć — mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem — Wiem jak to jest się zamyślić. A teraz odpowiadając na pani pytanie...

— Proszę nie nazywać mnie „panią” — przerwała Kalderia, a pąsy na jej policzkach nabrały intensywniejszych barw — mam dopiero siedemnaście wiosen. Mów mi Kalderia, proszę.

— Naprawdę? — zapytał wyraźnie zdziwiony obcy, ale zaraz dodał. — Mam nadzieję, że nie obrazisz się Kalderio, ale przypisałbym ci ze trzy, cztery więcej.

— Nie, oczywiście, że nie. Wszyscy mi tak mówią.

— Nie dziwię się, wyglądasz naprawdę dojrzałe. Ja mam

na imię Kerr. Wracając do pytania: Skąd u ludzi takie małe zainteresowanie ich kulturą? — To proste. Ludziom nie chce się walczyć o ich prawa. Boją się o nie zabiegać i słusznie — mamy przecież do czynienia ze smokami. Większość ludzi woli zapomnieć o swojej wolności, zamiast ubiegać się o nią, narazić się nieprzewidywalnym gadom. Arena, piwo i tanie towarzystwo dają im pocieszenie. I iluzję szczęścia.

Kalderia zwróciła wzrok na rozgadany tłum. Zobaczyła to, co zawsze: brudnych ludzi w lichych ubraniach, niejednokrotnie wręcz wyświechtanych łachmanach. Mężczyzn z rękami pokrytymi pęcherzami i obtarciami. Kobiety, które z uśmiechem na ustach i pustką w oczach negocjowały ceny swojego ciała. Dzieci, które bez opieki pałętały się po mieście, bawiąc się odpadkami i błotem z ulicy. Przypomniała sobie o ile jej życie jest wygodniejsze i pomyślała — czy gdybym była na ich miejscu naprawdę miałabym czas przejmować się przeszłością?

Gdy odwróciła się na powrót do Kerra, napotkała jego badawcze spojrzenie. Czekał na jej odpowiedź i widać było, że myśli nad czymś głęboko. Ten mężczyzna wydawał się być całkiem mądry. Nie chciała zbyt szybko kończyć rozmowy, która ją ciekawiła.

— Masz rację, ale to nie wszystko. Z moich doświadczeń wynika, że niechęć ludzi, a przynajmniej większości z nich, do własnej kultury jest tak duża, że nie tylko nie zabiegają o jej poznanie, ale wręcz sami tego unikają. Czy jesteś w stanie wyjaśnić i to?

— Bez problemu. Jeśli czegoś nie poznasz, nie będzie ci tego brakowało, rozumiesz?

— Tak — znachorka raz jeszcze rzuciła wzrokiem na tłum. — Zabawne. Wyjaśnienie wydaje mi się całkiem oczywiste, ale nie wiem, czy sama bym to wymyśliła.

— Za mało ze sobą rozmawiamy.

— Co takiego?

— Mam na myśli ludzi w ogóle. Sam się o tym niedawno przekonałem. Myślimy sami i zamykamy się w świecie własnych złudzeń. Chociaż bądźmy szczerzy — niektórzy nie znajdują w ogóle czasu ani przyjemności w myśleniu.

— Sądzę, że jesteś zbyt krytyczny w stosunku do innych. Nie smuci cię ich niedola?

— Nie. Dlaczego niby miałyby? To ich wybór. Sami się na to godzili.

— Myślę jednak, że nie do końca. Tak czy inaczej dziękuję ci za inteligentną rozmowę, chętnie to kiedyś powtórzę — Kalderia nieświadomie uśmiechnęła się, odgarniając z czoła kosmyk włosów. Teraz jednak muszę już iść. Wzywają mnie obowiązki. Powiedz, czy moglibyśmy się jeszcze kiedyś spotkać?

— Chwilę, gdzie ci się aż tak spieszy?

— Muszę znaleźć kupca, który sprzeda mi bardzo potrzebne zioła, naprawdę nie mam już czasu na rozmowę.

— Na rozmowę ze mną? Wręcz przeciwnie. To twój obowiązek.

— Co takiego? — Kalderia obruszyła się dziwnie brzmiącymi słowami.

— Kalderia Mulberry? — zapytał ten nieoczekiwanie jakby się upewniając. Kobieta nieznacznie skinęła głową na potwierdzenie, cały czas podejrzliwie wpatrując się w rozmówcę.

— Mam dla ciebie zioła, których szukasz.

— Naprawdę? A co z Brimem? — zdziwiła się kobieta.

— To tragiczna historia. Niedawno, gdy gościłem u niego zostaliśmy napadnięci przez bandytę. Chciał zabrać jego towary. Ten nie mógł sobie na to pozwolić. Podczas walki złodziej śmiertelnie zranił Brima.

— Straszne! — krew odpłynęła z twarzy Kalderii. — Nie

znałam Brima za dobrze, ale... Ale usłyszeć coś takiego. Podobne włamania zdarzają się tu często?

— Nie słyszałem, by ktoś wpadał do domu i atakował właściciela. Jednakże pobicia, kradzież kieszonkowa, gwałty są dość powszechne w dolnym mieście, jeśli ktoś się włóczy tam, gdzie nie powinien.

Kalderia stała przez chwilę ze spuszczoną głową, po-grążona w żałobnej ciszy. Potem jej wzrok powędrował w kierunku przyległego do smoczego szczytu wielkiego budynku rzeźni. Ponoć tam właśnie trafiały wszystkie ciała ludzi, którzy nie zmarli z powodu choroby, zatrucia lub, co zdarzało się naprawdę rzadko, starości...

— Wracając do interesów — zagadnął znów Kerr, roz-praszając grobową ciszę — może przedyskutujemy ceny w jakimś miejscu, gdzie będzie można spokojnie usiąść?

— Co proponujesz?

— Karczmę Matta. To chyba najlepszy taki przybytek w mieście — stwierdził mężczyzna, wskazując na spory budynek z piętrem, znajdujący się zaraz przy głównej drodze.

— Dobrze. Chodźmy.

Kerr i Kalderia ruszyli szybkim krokiem w kierunku karczmy.

W karczmie Matta siedziały grupki mężczyzn i kobiet, rozmawiających i flirtujących ze sobą. Gdy tylko Lor pojawił się w karczmie, sporo z nich wstało i z daleka energicznie go przywitało. On jednak odpowiedział wyjątkowo spokojnie — tylko uśmiechnął się w stronę ludzi i pomachał im ręką. Nie wolno mu było w końcu ich zignorować, przecież jest ich idolem, bohaterem. Nie można było pozwolić, żeby

myśleli, że nic go nie obchodzą. Nie przyszedł tu jednak dziś dla fanów, darmowego piwa, czy nawet dla kobiet. Przyszedł tu, aby poważnie porozmawiać i wyjaśnić kilka spraw.

— Dokładnie tak, jak się tego spodziewałem — pomyślał Lor, wciąż stojąc w drzwiach przybytku. Berem siedział przy stoliku w kącie karczmy, tuż przy ladzie. Na chwilę zwrócił na niego wzrok, po czym wrócił do stojącego przed nim kubka i miski.

Lor zebrał się w sobie i ruszył w stronę niepokornego gladiatora. Gdy zatrzymał się przy jego stoliku, ten po raz kolejny spojrzął na niego, ale tym razem z wyraźnie wymalowanym na twarzy wyrazem wyczekiwania.

— Można się dosiąść? — spytał Lor tak spokojnie i ugodowo, że aż sam się zdziwił.

— Oczywiście — odpowiedział Berem, natychmiast się ożywiając.

Mistrz areny usiadł przed nim. Z początku obaj milczeli. Lor dopiero teraz uświadomił sobie, że wcale nie myślał nad tym, co ma mówić. Zakłopotany starał się szybko znaleźć jakiś temat, od którego mógłby zacząć rozmowę. Wtedy przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie. Już wiedział od czego zacząć.

— Przepraszam za naszą ostatnią rozmowę. Byłem bardzo zdenerwowany. No, wiesz, mamy wa... — Lor zająknął się. Znów nie pomyślał i prawie wygadał, że będą ze sobą walczyli. Takie rozmowy nie są dla niego. Jak teraz z tego wybrnąć?

— Tak, wiem, nie stawilem się na arenę — odpowiedział przeproszającym tonem Berem. — Ale miałem swoje sprawy do załatwienia. Ważne sprawy.

Lora na chwilę zatkało, ale zaraz przypomniał sobie, że dzień przed ich ostatnim spotkaniem Berem w istocie przebąkiwał coś, że spędzi kilka godzin na arenie i będzie

z nim ćwiczył. Mistrz jednak nie wierzył w to i szybko o tym zapomniał. Och, jak dobrze, że Berem nie. I patrzcie państwo: jeszcze ma wyrzuty sumienia przez niespełniony obowiązek. Mistrz areny stwierdził, że trzeba to wykorzystać.

— Tak, zaniedbałeś swoje zobowiązanie. Zresztą nie pierwszy raz. Właśnie po to tu przyszedłem, chce z tobą porozmawiać o twoich obowiązkach — Lor wlepił twarde, wyczekujące spojrzenie w drugiego gladiatora.

— Zaniedbywać? No, wtedy to owszem, ale nie mam przecież obowiązku trenować na arenie, tylko na niej walczyć.

Mistrz areny przez długi czas nie wiedział co na to odpowiedzieć. Siedział tylko z półotwartymi z wrażenia ustami i patrzył tęnym wzrokiem na Berema. Gdy wreszcie się odezwał, omal nie krzyknął.

— Jak masz zamiar wygrać, skoro nie będziesz ćwiczył!

— Nie kłopotz się tym. Nie mówiłem przecież, że nie ćwiczę, tylko, że nie robię tego na arenie — odparł całkowicie spokojnym tonem Berem. Lor również się uspokoił, choć nie przestał patrzeć na Berema jak na człowieka niespełna rozumu.

— A masz z kim trenować? I w ogóle, gdzie poza areną jest miejsce do treningu?

— Nie martw się o mnie, naprawdę. Potrafię o siebie zadbać.

— Trening samemu to żaden trening — odpowiedział twardo Lor.

— Ależ ja wcale nie jestem sam.

— Nie kłam! — Lor znów podniósł głos, niemal do krzyku. — Rozmawiałem z resztą gladiatorów i żaden z nich nie ćwiczy z tobą regularnie, a na pewno nie poza areną.

— Przecież nie kłamię — kontynuował urażonym tonem Berem.

— Co? Chcesz mi w takim razie powiedzieć, że ćwiczysz

gdzieś poza areną z kimś, kto nie jest gladiatorem?

— Dokładnie tak — padła krótka, dosadna odpowiedź.

Lor znów nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Berem ćwiczył, ale nie z gladiatorem? Przecież to niemożliwe! Mało tego, nie na arenie. To wszystko nie mieściło się w umyśle mistrza. Stwierdził, że czas powoli zmienić temat.

— Powinieneś więcej czasu spędzać z innymi gladiatorami. Nie miałbyś wtedy problemu ze znalezieniem partnera do treningu. A poza tym, kto tak naprawdę może zrozumieć gladiatora? No kto? Tylko inny gladiator. Zwykły mieszczuch nie pojmie przecież, jak to jest żyć, wiedząc, że najpewniej nie przeżyje się dwudziestu pięciu wiosen, spotykać się i żartować z ludźmi, którym przyjdzie ci odebrać życie, lub którzy właśnie ciebie posła na piach areny, rozłupią czaszkę, wgniotą w ziemię... Zwykły człowiek nie pojmie naszej tradycji, przekonań... Zaraz! Ty ich też nie podzielasz, tak więc żadna dla ciebie różnica — końcowe stwierdzenie zostało wypowiedziane niemal z wyrzutem, na co Berem wzruszył obojętnie ramionami.

— Zrozum, u nas w Kad'Silfara panują inne zwyczaje niż tutaj. Gladiatorzy boją się i nie ufają sobie nawzajem. Często zdarzają się wśród nich morderstwa. Gladiator staje się tam małym włodarzem na smoczych włościach. Otacza się swoimi wielbicielami i wynajętymi zbirami, którym często zleca ataki na innych gladiatorów, żeby ich zranić przed walką.

— I co? Myślisz, że taki stan rzeczy jest lepszy? Nie lepiej razem z nami wstąpić w coś nowego, lepszego niż rozpamiętywać się w tym co było i wspominać niechlubną przeszłość?

— Nie zrozumiałeś mnie. Przywołałem to tylko po to, żeby uświadomić ci, że wasza tradycja nie jest uniwersalna. Co do sposobów bycia, nie popieram w pełni obu. Ani waszego, ani tego z Kad'Silfara.

— Dlaczego? Co ci nie pasuje w naszych obyczajach?

— Zostawmy to na kiedy indziej.

— Niech będzie. Ale na przyszłość nie kwestionuj naszej tradycji, zrozumiano?

— Na pewno nie sam z siebie, ale jeśli ktoś mnie zapyta o moje zdanie w tej sprawie, to przecież nie skłamię.

— Rozumiem. Niech będzie — Lor skwitował wypowiedź Berema, po czym skrzyżował ręce na piersi i odwrócił wzrok gdzieś na bok. Dalej go nie lubił, ale była to już raczej zwykła niechęć wynikająca z różnicy poglądów, a nie paląca nienawiść, którą żywił do niego wcześniej. Nie lubił go, ale skoro lord Batdarios powiedział, że Berem dobrze radził sobie w walce ze skolopem królewskim, to...

— Właśnie! Prawie zapomniałem!

— O czym?

— Posłuchaj, tylko wiedz, że nie możesz tego przekazać nikomu więcej — Lor zniżył głos do cichego szeptu.

— Tak? Mów zatem, o co chodzi? — zapytał, również szeptem Berem.

— Nie przepadam za tobą...

— A to akurat nie jest żadna tajemnica. Nie trzeba było szeptać — ironicznie wtrącił Berem.

— Przestań mi przerywać i słuchaj! Nie przepadam za tobą, ale przydałaby mi się twoja pomoc. Widzisz, z pewnych źródeł dowiedziałem się, że przed tegorocznymi wielkimi igrzyskami młodziki będą walczyć z wyjątkowo niebezpiecznym stworem. Chciałbym, żeby dali jak najlepsze widowisko, a przy tym, żeby jak najmniej ich zginęło — tu Lor przerwał na chwilę, wyczekując reakcji Berema.

— Hm... z pewnych źródeł, powiadasz? — zastanawiał się ten na głos. — Czyli od lorda Batdariosa?

— Co?! Skąd wiesz?! — krzyknął mistrz areny, ściągając

na siebie uwagę kilku najbliższych gości karczmy. Widząc to zamilkł, dając im do zrozumienia, że nie ma się czemu przyglądać. Gdy tylko wrócili do swoich spraw, Lor podjął na nowo rozmowę. — Gadaj jak się tego dowiedziałeś? To była przecież tajemnica.

Drugi gladiator zrobił na to minę, jaką robi dziecko zapytane o coś, co uważało za oczywiste, a czego jego rodzice nie są w stanie pojąć.

— Nie byłem pewien aż do teraz — odpowiedział powoli — ale każdy wie, że się z nim zadajesz. Ludzie gadają. Trudno w sumie nie zauważyć. Lord Batdarios jest dość duży i rzuca się w oczy. Każdy też wie, że to on jest głównym rządcą naszej areny, i to on ma największy wpływ na wydarzenia każdych igrzysk — ponieważ mistrz areny długo nic nie odpowiadał, tylko patrzył na swojego interlokutora, Berem dodał jeszcze: — Zwyczajnie zgadywałem.

— Racja — stwierdził uspokajając się Lor. — Ale nie o tym chciałem teraz mówić.

— Jasne, że nie. Chciałeś mnie poprosić o pomoc w treningu młodzików.

— A skąd... Też się domyśliłeś, co? Dobrze więc. Co ty na to?

Berem nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

— Jestem do twych usług — stwierdził krótko i dosadnie.

— Świetnie! — wykrzyknął Lor uradowany, że w końcu udało mu się wymóc na Beremie pojawienie się na arenie.

— Kiedy możesz zacząć?

— Choćby od zaraz.

— Doskonale! Zbierajmy się. Czeka nas wiele pracy, a igrzyska przecież tuż, tuż.

Gladiatorzy wstali od stołu i ruszyli w stronę drzwi. Ale w połowie drogi Berem zauważył siedzącego przy jednym ze

stołów Kerra z jakąś kobietą. Gdy tylko jego znajomy go zobaczył, od razu przywołał go do siebie.

— Witaj, Beremie. Może przysiądziesz się do nas na chwilę? — spytał pogodnym głosem.

Gladiator chciał już coś odpowiedzieć i skręcił nawet w stronę stolika Kerra, ale zanim zdążył zrobić cokolwiek więcej, powstrzymał go ostry głos Lora.

— Raczej nie, mieszczaninie. Gladiator Berem ma swoje obowiązki do spełnienia.

— Ale chwilka chyba nie zaszkodzi — poskarżył się Berem. Zapewne nic by mu to nie dało, gdyby nie to, że poparła go towarzyszką Kerra, na którą wcześniej Lor nie zwrócił uwagi.

— Racja, mistrzu Lorze. Ale skoro nie chcesz przyjąć zaproszenia tego zacnego kupca, to może przyjmiesz moje — powiedziała słodkim głosem.

— Pani Kalderia? Jak mógłbym pani odmówić — odparł Lor natychmiast zmieniając ton głosu.

Gladiatorzy przysiedli się do Kerra i Kalderii. Nawiązała się rozmowa, z której Lor wywnioskował, że ten cały Kerr jest całkiem znaną w mieście osobą. Bardzo go to zaciekawiło. Kim był ten mieszczanin, z którym zna się i Berem i nawet Kalderia.

— Raz jeszcze dzięki za te zioła. Twoje ceny są bezkonkurencyjne — zachwalała go Kalderia.

— Nie musisz mi dziękować. Jakoś zarabiać trzeba. A poza tym, ty w całym mieście najlepiej je wykorzystasz.

— Czy za jakies dwa tygodnie mogę spodziewać się kolejnej dostawy?

— Tak. Dwa tygodnie powinny wystarczyć na zebranie wszystkiego.

— Doskonale! Dzięki ci jeszcze raz. Brim, choć był to dobry człowiek i żał mi tego, że odszedł, zażądałby prawie dwa razy więcej, a do tego na pewno nie uwinąłby się tak

szybko z dostawą.

— A masz może moje zamówienie? — zapytał nieśmiało Berem.

— Czeka na ciebie w twoim pokoju. Jakby coś było nie tak, powiedz.

Berem uśmiechnął się i odpłynął gdzieś w zadumie. Lor, który siedział do tej pory cicho jak mysz pod miotłą i tylko przysłuchiwał się rozmowie, postanowił się wreszcie do niej przyłączyć. To on był w końcu mistrzem areny, duszą towarzysztwa, idolem mas. Poza tym bardzo ciekawił go ten cały Kerr.

— Czyli jak rozumiem jesteś jakimś kupcem, tak? — zapytał niedbałym tonem, starając się pokazać, że Kerr nie zrobił na nim wielkiego wrażenia.

— Jakimś kupcem? — zachnęła się Kalderia. — On nie jest jakimś kupcem. Jest najlepszy w swoim fachu.

— Ona ma rację, Lorze. Od Kerra kupisz prawie wszystko i po najlepszych cenach — ochoczo zapewniał Berem. — On jest jak mistrz areny wśród kupców.

— Doceniam to, że robicie mi reklamę, ale moje towary są ograniczone i nie mogę sprzedawać ich każdej napotkanej osobie — zaoponował Kerr.

— Ale mi chyba możesz — odpowiedział Lor tonem nieznoszącym sprzeciwu. Mężczyźni zaczęli mierzyć się chłodnymi spojrzeniami. Berem i Kalderia również zamilkli z niepokojem przyglądając się gladiatorowi i kupcowi. Przez blisko ćwierć minuty, która wydawała się długa niczym wieczność, mężczyźni tylko patrzyli sobie w oczy. Żaden ich mięsień nie drgnął, nie poruszyli się nawet o milimetr. Zdawało się nawet, że przestali oddychać, ale powietrze między nimi było ciężkie od wzajemnej pogardy. Być może trwali by tak, w niezmienionej pozycji przez wieki albo, aż

nie zmusiłaby ich do tego natura wzywając ich za potrzebą, ale w końcu to pełne napięcia milczenie zostało przerwane w nagły sposób.

— Kerr! Twój obiad — na stole wylądowała drewniana miska z kaszą i polewką, podana przez czarnowłosą, nie wyróżniającą się wyglądem kelnerkę.

— Och, wybaczcie. Czas na mój posiłek. A co do ciebie, gladiatorze, masz jakieś zamówienia?

— Na razie nie, ale wkrótce na pewno coś się znajdzie — Lor wypowiedział te słowa, jak pogroźkę i zaraz potem wstał. — Do zobaczenia. Chodźmy, Berem. Trzeba udzielić dziś jeszcze kilku lekcji młodzikom.

— Tak, racja. Do zobaczenia wieczorem, Kerr.

— I ja muszę iść — stwierdziła znachorka, podnosząc się powoli z miejsca. — Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Gdy ognistorudy warkocz i kremowe fałdy szaty Kalderii zniknęły za progiem karczm, kelnerka usiadła na jej miejscu.

— Jak tam, Wren? — zwrócił się do niej Kerr.

— Wszystko dobrze, a u ciebie?

— Też nie mogę narzekać.

— Widzę, że handlowałeś z młodą znachorką. Czy do tej pory nie zlecałeś tego Brimowi?

— To już nie leży w zakresie jego obowiązków.

— Hm, co ty nie powiesz. Słyszałam, że teraz leży w rzeźni i czeka na oporządzenie. Zastanawiałam się, czy nie wiesz przypadkiem czegoś więcej o tej sprawie.

— Pamiętasz jeszcze czego najbardziej nie lubię?

— Tak, tego samego, co ja: smoków i głupoty.

— No właśnie.

Na chwilę zapanowała cisza. Kerr rytmicznie podnosił łyżkę ze strawą do ust i znów zanurzał ją w talerzu. Po kilku takich kursach Wren nie wytrzymała i z irytacją rzuciła:

— No dobra. Dowiem się w końcu co takiego głupiego zrobił Brim?

— Kazał kilku opryszkom, żeby napadli mnie na trasie.

Wren wstała, westchnęła i z rezygnacją wywróciła oczami. Odwróciła się w stronę szynku i ruszyła przed siebie. Na odchodne rzuciła:

— Wiesz, Kerr? Jesteś beznadziejny. Nie znasz innych rozwiązań?

— Znam, ale ich nie stosuję. Dlatego ciągle żyję — odpowiedział jej beznamiętnie.

Do rozpoczęcia igrzysk pozostał już tylko tydzień. Przez trzy dni Lor i Berem ciężko pracowali, ramię w ramię przygotowując młodzików na czekającą ich walkę inauguracyjną. Mistrz areny był podwójnie zadowolony. Pierwszym powodem był lord Batdarios, który wyglądając z balkonów smoczych gniazd, z zadowoleniem i aprobatą kiwał łbem, oglądając wysiłki gladiatorów.

Po drugie udało mu się wreszcie zmusić Berema do ćwiczeń na arenie i widział, że rzeczywiście jego przeciwnik jest wart zachodu i zna się na tym, co robi. Miał nie tylko krzepę, ale i doświadczenie w walce zarówno w grupie, jak i w pojedynkę. Pomimo tego Lor dalej za nim nie przepadał. Bał się, że może zaszczepić swój niezdrowy sposób myślenia młodzikom, dlatego, gdy tylko zaczynał rozmowę z którymkolwiek z nich, Lor starał się ją jak najszybciej przerwać.

Ćwiczyli od wczesnego ranka, przez blisko sześć godzin. Później rozchodzili się, aby coś zjeść i odpocząć. Po dwóch godzinach Lor był z powrotem na arenie. Rozpoczął wtedy indywidualny trening, a młodzików pozostawiał samych sobie.

Mistrz zastanawiał się, którzy z nich mają największe szanse na przetrwanie potyczki ze straszliwym przeciwnikiem.

Sharmaine została wybrana do walki z innym gladiatorem. Szkoda, bo opanowała sztukę walki najlepiej ze wszystkich. Zdecydowano, że w tegorocznych Wielkich Igrzyskach po raz pierwszy zawalczy z innym człowiekiem.

Dobrze prognozował Randal — wysoki, choć dość szczupły jak na gladiatora młodzieniec, który do walki używał korbacza i tarczy. Był zwinny i miał sporo siły w ramionach, co pozwoliło mu szybko opanować trudną sztukę walki tym orężem. Randal odpoczywał teraz z boku areny. Rozmawiał z Jasenną, która prawdopodobnie szeptała mu teraz jakieś błahe i puste komplementy o tym, jak pięknie wyglądają jego krótkie jasnорude włosy.

Ta młoda i na pierwszy rzut oka delikatna osóbką niepomniemie denerwowała Lora. Była to najbardziej niezaspokojona kobieta, jaką znał. Flirtowała nawet z kobietami, ale z jakiegoś powodu nie zainteresowała się samym mistrzem. Aby podrywy nie były nadaremne, Jasenna chorobliwie dbała o swój wygląd. Złote włosy starannie zaczesywała do tyłu i spinała sprzączką tak, że tworzyły coś na kształt aureoli dookoła jej głowy. Rzęsy jej modrych oczu zawsze były lekko podkreścone, a policzki delikatnie pokryte różowym pudrem. Chodziła tak nawet na treningi, co również było powodem niezadowolenia Lora. Chociaż wyniki jej starannej pracy i tak znikwały już po kilkunastu minutach forsownych ćwiczeń, to w tym czasie i tak udało się jej już rozproszyć połowę gladiatorów na arenie. Trzeba było jej jednak przyznać, że znała się też na walce. Unieruchamiała wrogów biczem, którym posługiwała się bardzo sprawnie, a dobijała zakrzywionym, żelaznym sztyletem.

Poza nią byli jeszcze Mark i Irisa. Walczyli w tak

zwanym „klasycznym stylu”, czyli chroniąc się szerokim, drewnianym pawężem i atakując z za niego lekką bronią, w tym wypadku odpowiednio: krótkim mieczem i krótką włócznią. Mark i Irisa byli z sobą od niespełna roku. Ponoć bardzo się kochali, a podczas walki świetnie współpracowali. Tego ostatniego Lor był pewien, gdyż nie raz widział ich w akcji. Byli silni, wytrzymali, a z za szczelnej zasłony ich tarcz wyprowadzali szybkie, pewne kontrataki.

Jest jeszcze Grand — młodzik z dwuręcznym mieczem, uczeń Berema. W istocie świetnie zapowiadający się gladiator, choć jeszcze daleko było mu do szczytu formy. Lor bardzo chciał zobaczyć go w obliczu zagrożenia. Na arenie, podczas prawdziwych walk, Grand pojawił się tylko dwa razy, ale wystawione przeciw niemu bestie są niewarte wspomnienia, dlatego też zdolny młodzieniec nie miał okazji się wykazać.

Poza nimi było jeszcze trochę innych młodszych gladiatorów, ale Lor nie dawał im zbyt dużych szans. Byli niewprawieni. Wysłano ich na arenę, bo dobrze rokowali, czyli byli nieprzeciętnie dobrze zbudowani. Ha! Mięśnie to nie wszystko, choć oczywiście są atutem każdego dobrego wojownika. Najważniejsza jest odporność psychiczna. Gdy stoisz naprzeciw wroga, który jest zdecydowany zabić cię, a ogląda cię przynajmniej pół miasta, włączając w to smoki, presja jest tak wielka, że aż może zwalić z nóg. Strach odbiera jasność myśli oraz siłę. Ataki stają się słabe i niecelne, a uniki zbyt wolne.

Dlatego właśnie stawiał na Jasennę, Randała, Granda, Marka i Irinę. Oni potrafili poradzić sobie ze swoimi lękami. Pewne wątpliwości mógłby budzić Grand. Często się denerwuje, a po każdej ze swoich walk schodzi z areny cały roztrzęsiony. Lor jednak widział, że w czasie ich trwania był doskonale skupiony.

Mistrz areny czasami zastanawiał się, gdzie do wieczora znikał jego przyszyły przeciwnik, tajemniczy gladiator Berem. Gdy wypytywał go o to, ten oględnie stwierdzał, że ćwiczy gdzie indziej. Lor cały czas był bardzo ciekaw, gdzie w Har'Shamats poza areną znajduje się miejsce odpowiednie do treningu.

W końcu dostał swoją odpowiedź — udało mu się namówić Berema na wspólny trening w jego tajemnym miejscu. Wybrali się tam jeszcze tego samego dnia pod wieczór. Okazało się, że przez ten cały czas owe tajemne miejsce miał dosłownie pod nosem. Berem zaprowadził go do jakiegoś budynku w trzecim kręgu Har'Shamats, które znajdowało się dokładnie pod jego mieszkaniem na drugim.

Gdy weszli do środka, mistrz areny z niedowierzaniem rozejrzał się dookoła. Owszem, budynek był dość duży — miał dwa pokoje, aktualnie zamknięte prawdziwymi drzwiami na zawiasach i coś jak składzik, ale i tak nie sposób było tu prowadzić normalnej walki. Chciał już wypomnieć to Beremowi, lecz zauważył, jak ten przykuca na końcu korytarza i zaczyna grzebać w ziemi. Zaraz potem chwycił za coś i pociągnął. Okazało się, że była tu ukryta kłapa, zakrywająca przejście w dół. Tunel, choć miał niecałe cztery metry długości, musiał być ryty w twardej skale przez lata. Doprowadził ich do obszernej jaskini, która najwyraźniej została stworzona przez naturę, a następnie poszerzona dodatkowo przez człowieka.

Widać właściciel jakimś sposobem odkrył jej obecność i dokopał się do niej, zyskując świetną piwnicę. Gladiatorzy zapalili łojowe kaganki, przymocowane do skalnych ścian i przejrzelili arsenał drewnianej broni treningowej ułożonej pod ścianą. Zazwyczaj Lor trenował metalową bronią, ale

tutejsze repliki były naprawdę sprawnie wykonane — dobrze wyważone i podobnej wagi do oryginału, więc nie mógł narzekać. Gdy znalazł ćwiczebną wersję swojej ulubionej gizarmy, uśmiechnął się nawet pod nosem i stwierdził:

— No, naprawdę dobrze wyposażone to miejsce. Zaskoczyłeś mnie.

— Większość sprzętu do ćwiczeń jest moja, więc nie musimy ich oszczędzać. Mieszkanie należy do przyjaciela, którego poznałem w mieście. Pozwolił mi korzystać z tego schronienia, gdy mówiłem mu, że szukam spokojnego zakątka na samotne treningi. Choć później i on się do nich przyłączył.

— A przydał się rzeczywiście na coś podczas tych treningów?

— Może to nie gladiator, ale walczyć potrafi. Jest bardzo szybki.

— Powiadasz? Chętnie poznam tego mieszczanina.

— Już go kiedyś poznałeś — powiedział Berem, lecz Lor najwyraźniej już nie słuchał, gdyż w ogóle na to nie zareagował.

Po tej krótkiej wymianie zdań, gladiatorzy rozpoczęli trening. Berem wybrał oczywiście swoją atutową broń — wielki miecz. Mistrz miał z nim spore problemy. Często udawało mu się parować ataki oponenta, ale wiedział, że podczas prawdziwej walki będzie musiał ograniczyć parowanie, bo drzewce jego broni nie wytrzyma długo ciosów potężnego, dwuręcznego miecza Berema. Jedną włócznię połamał już przy walce z Grandem, który był przecież o wiele słabszy od swojego nauczyciela.

Drugim problemem była zwinność Berema. Właściwie w ogóle nie parował ataków Lora, ciągle tylko odskakiwał lub szybko cofał do tyłu zagrożoną trafieniem częścią ciała. W efekcie po ponad dwóch kwadransach treningu nie udało

mu się ani razu powalić, ani rozbroić wroga hakiem swojej broni. Mistrz był już teraz absolutnie pewien, że pod względem techniki trafił na godnego przeciwnika.

Ćwiczyli tak pewnie z godzinę albo i dłużej, a dalej nie czuli się szczególnie zmęczeni. Lor musiał przyznać, że to miejsce jest naprawdę dobre. Było tu chłodno i cicho. Nikt nie gapił się na nich, nie rozpraszał krzykami. Miejsca było niepomiernie mniej niż na arenie, ale gdy ćwiczyły tam dziesiątki innych gladiatorów w praktyce każdej parze pozostawała podobna powierzchnia, co tutaj.

W końcu, gdy na chwilę przerwali walkę, usłyszeli entuzjastyczne oklaski dobiegające od wejścia. Na brzegu jaskini stała ubrana w swoją urzędową szatę Kalderia. Z jej rozmarzonej twarzy promieniowała czysta radość.

— Pani Kalderio! Nie spodziewałem się pani tutaj!

Znachorka otrząsnęła się i popatrzyła na Lora, jakby do tej pory nie zwróciła uwagi na to, kim jest.

— Ja was również — odpowiedziała szczerze zdziwiona.

— Skoro już tu jesteś, to może chciałabyś spróbować się sam na sam z mistrzem? — zaśmiał się buńczucznie mistrz areny. Znachorka już miała odpowiedzieć coś na tę bezczelną uwagę, ale zanim jej się to udało, z mroku korytarza za jej plecami wychynęła szczupła, alabastrowo blada postać. Jej ciemne, wąskie oczy i długie włosy opalizowały w świetle kaganków. Lor poznał w przybyszu kupca, z którym kilka dni temu rozmawiali Kalderia i Berem. Jego dobry humor zniknął nagle jak rysunek na piasku rozwiany gwałtownym podmuchem wiatru.

— A ty co tu robisz? — rzucił gladiator nieprzyjemnym tonem.

— Ja? — odparł Kerr, złośliwie się uśmiechając. — Mieszkam tutaj. Powiedz raczej co TY tutaj robisz.

— Ach — wybełkotał kompletnie zaskoczony gladiator. Z pomocą przyszedł mu jednak Berem.

— Witaj Kerr — wtrącił się Berem — to jest ta osoba z którą miałem dzisiaj ćwiczyć. Pamiętasz jak o tym rozmawialiśmy?

— Tak, tylko nie myślałem, że... — Kerr zawahał się na chwilę, po czym najwyraźniej zrezygnował z poprzedniej wypowiedzi. — Zresztą nieważne, ćwiczcie. A teraz pozwólcie, że się oddalimy. Mamy z panią Kalderią do obgadania kilka spraw.

— Czyli pani przyszła tu w interesach? — stwierdził Lor zawiedziony, że nie będzie miał okazji dłużej popisywać się przed znachorką.

— Tak, ale wasza walka też mi się podobała. Teraz jednak już się pożegnaj. Muszę pomówić z Kerrem i czekają na mnie jeszcze pacjenci. Tak więc do zobaczenia — powiedziała znachorka, po czym z uśmiechem na twarzy dygnęła lekko i odeszła. Za nią podążył Kerr, bynajmniej nie uradowany spotkaniem z Lorem.

Przez następne dni gladiatorzy dalej ćwiczyli u Kerra. Kupiec i mistrz areny jakoś tolerowali swoją obecność. Zmienili odtąd rozkład dnia — od rana do południa ćwiczyli w podziemiach, chroniąc się przed palącym słońcem późnego lata. Pod wieczór wracali na arenę i wspólnie przygotowywali prawdziwą kaźń młodzikom. Obaj, Lor i Berem, chcieli, aby jak najwięcej z nich przetrwało Wielkie Igrzyska.

Podczas ich ćwiczeń, któregoś dnia pomoc zaproponował nawet Kerr. Jak się okazało doskonale radził sobie z miotanymi sztyletami. Lor na początku był sceptyczny. Nie chciał przyjmować pomocy od jakiegoś kupca, a poza tym takiego oręża nie używało się na arenie. Zmienił zdanie dopiero, gdy zobaczył, jak Berem unikał miotanych przez Kerra pocisków. Mistrz stwierdził wtedy, że takie ćwiczenia mogą świetnie rozwinąć refleks. Może to dzięki temu Berem

był tak dobry w unikach.

Treningi u Kerra miały jeszcze jedną wielką zaletę — na większości była obecna Kalderia. Przychodziła nie tylko załatwić interesy z Kerrem, ale również długo oglądała ich walki. To mogło znaczyć tylko jedno: przychodziła, dla jednego z nich! Tylko dla kogo? Na kim jej zależało? Na Lorze czy na Beremie? Mistrz areny zadawał sobie to pytanie wiele razy i często przyłapywał się na tym, że go to dekoncentruje. Podczas jednego z ostatnich treningów, gdy odbijali rzucane przez Kerra drewniane sztylety, dostał przez to jednym z nich w głowę. Zaskoczony zareagował oczywiście gniewem.

— Co ty robisz, głupcze?! Uważaj jak tym...

Opamiętał się jednak, gdy przypomniał sobie, że patrzy na niego Kalderia. Zmieszany nie wiedział, co powiedzieć. Wtedy odezwał się Kerr.

— Myślałem, że mam tym rzucać tak, żeby w ciebie trafiać — po czym dodał jadownicę. — Ale jak cię skrzywdziłem, to możemy na dziś skończyć.

Na tę bezczelną, acz humorystyczną uwagę wszyscy wybuchli radosnym śmiechem. Zajście obróciło się w żart. Nawet Lor zmusił się do niskiego, mało przekonującego śmiechu. Zaraz potem jednak wymamrotał, że musi zaraz coś załatwić i wyszedł. Na ustach Kerra natychmiast pojawił się jeden z jego najbardziej złośliwych uśmiechów.

— Czyżby moje słowa go tknęły? Nie sądziłem, że jest taki delikatny.

Berem tymczasem patrzył w ślad za Lorem z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

— Chyba nie powinieneś być dla niego taki ostry.

— Nie wiem czy słyszałeś, ale mnie obrażał bez powodu. Berem, jeszcze nie wiesz, jaki potrafię być ostry.

— Będę musiał z nim porozmawiać — kontynuował Be-

rem, jakby tego nie słysząc — ale najpierw chcę ci coś dać, i tobie, Kalderio, też — przemytnik i znachorka zbliżyli się do Berema, który wyciągnął z sakwy dwie niewielkie, drewniane tabliczki. — To karnety na miejsca na widowni, na igrzyska. Bardzo dobre. Z trudem je załatwiłem. Chciałbym, żebyście byli ze mną. Jeszcze nie wytypowali mnie do żadnej walki, ale biorąc pod uwagę okoliczności mojego przybycia, to chyba tylko kwestia czasu. Poza tym z przyjaciółmi zawsze raźniej.

Gladiator podał przyjaciołom wejściówki i utkwiał w nich wzrok z wyrazem wyczekiwania na twarzy. W końcu znachorka podniosła wzrok na przemytnika i powiedziała:

— Ja i tak miałam iść, lecz nie załatwiłam dotąd miejsca. Miałam dużo pracy. Na pewno się pojawię, a ty?

Kerr myślał znacznie dłużej.

— Ja nie miałem zamiaru oglądać igrzysk — stwierdził, ale gdy tylko na twarzy jego przyjaciela pojawił się grymas zawodu dodał, — ale teraz mam przecież dobry powód, żeby się pojawić — Kerr położył rękę na ramieniu Berema.

— Jesteś niezwykłym człowiekiem. Nawet teraz dziwię się, że tak szybko zacząłem cię nazywać moim przyjacielem. Dlatego będę tam dla ciebie.

Gladiator uśmiechnął się szeroko, objął Kerra bratersko i klepnął go w plecy.

— Dziękuję, druhu, zależało mi na tym.

Kalderia uśmiechnęła się nieznacznie. Jej również na tym zależało.

Trójka wkrótce pożegnała się i powoli wróciła do swoich zajęć.

Rozdział IV

Długi dzień Solany

W zazwyczaj cichym i spokojnym legowisku aż wrzało. Już jutro Wielkie Igrzyska miały zostać otwarte. Har'Shamats organizowało najlepsze walki w całym Orbis. Z tej okazji przybywało wielu gości, zwabionych niecodzienną rozrywką, możliwością posmakowania w dużych ilościach ludzkiego mięsa i rozlicznych innych rzadkich smakołyków, a także doskonałą okazją do pogaduszek, plotek i pokazania się wśród śmietanki smoczego towarzystwa.

Legowisko zamieszkiwane na stałe przez niewiele ponad dwadzieścia dorosłych smoków przeżywało teraz prawdziwe oblężenie. Przybyło blisko czterdziestu gości — generałowie i lordowie najwyższej rangi, a wraz z nimi ich partnerzy i małe pociechy. Wszystkich trzeba było powitać, wprowadzić, chwilę zająć rozmową, wskazać im ich sale.

Najwięcej obowiązków spadło na Batdariosa, jako że był on najstarszym lordem w legowisku. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej, wręcz przeciwnie. Za każdym razem, gdy tylko przybywali goście, czuł się szczęśliwy, gdyż wreszcie mógł porozmawiać ze starymi znajomymi. Zazwyczaj było to niemożliwe, bo sprawy ich legowisk, podobnie jak jego, pochłaniały ich niemal bez przerwy.

Batdarios nie lubił rozmawiać z młodym pokoleniem, a tym bardziej z kilkudziesięcioletnią dzieciarnią. Potrzebował kogoś na poziomie, aby porozmawiać o filozofii, polityce i jego ulu-

bionym temacie — sztuce wojennej. Niestety w Har'Shamats tylko dwa smoki pasowały do tego opisu, czyli lordowie Favillas i Kythmaros. Byli to doświadczeni wojownicy, dowódcy i zarazem rozważni lordowie, obeznani ze sprawami i polityką Orbis. Trzydzieści lat temu dołączyli w rangach pułkownika do armii, której generałem był Batdarios, a ledwie sześć lata później, po wielkim zwycięstwie nad znieprawionymi drake'ami dwójka młodszych lordów została zrównana z nim rangą. Batdarios miał nadzieję zobaczyć jeszcze kilku innych znajomych z tego wspańskiego okresu.

Biały smok zadumał się, przemierzając wielkie, poszerzone i zdobione rękami ludzkich kamieniarzy korytarze legowiska Har'Shamats. Był do tego stopnia oderwany od rzeczywistości, że nie miał żadnych szans zauważyć, jaki to straszliwy i niecny spisek został przeciw niemu uknuty, spisek, który już za chwilę miał zostać wcielony w życie. Krok za krokiem Batdarios coraz bardziej zbliżał się do pułapki.

Tunel w tym miejscu dość szybko się obniżał, a potem skręcał nagle w bok. Właśnie w momencie, kiedy smoczego lorda od zakrętu dzieliło jedynie kilkanaście metrów, poczuł, że nagle grunt pod jego łapami stał się wyjątkowo gładki i śliski, a on sam z dużą szybkością zbliżał się do ściany.

Dało się słyszeć głośnie uderzenie, a potem jeszcze głośniejszy ryk.

— Co to ma znaczyć? — spytał głośnie Batdarios, otrząsając się po uderzeniu.

Nie uzyskał jednak żadnej odpowiedzi. Jedyne co usłyszał, to ciche popiskiwanie, jakby ktoś starał się zdławić śmiech. Ale kto? W pobliżu nie było widać nikogo. Lord postanowił póki co zbadać podłogę. Okazało się, że w całości pokryta była gładką warstwą lodu!

Teraz już się domyślał, co się tu działo. Jego wzrok spo-

czął na dwóch głazach, na które do tej pory nie zwrócił uwagi, choć leżały ledwie kilka metrów od niego. Kamienie te były nieregularne i nieobrobione. Nie pasowały zupełnie do wnętrza legowiska. Do tego poruszały się nieznacznie.

Batdarios dopadł je jednym zwinnym ruchem, chwycił łapami i pociągnął w górę. Skąły dziwacznie odkształciły się, przybierając formę małych smoków. Na tym jednak zmiany się nie skończyły — zaraz potem ich bura barwa ustąpiła miejsca żywszym kolorom — czerwieni i połyskującemu, kasztanowemu brązowi. Teraz lord miał przed sobą dwie, młode, przestraszone smoczyce.

— No, no, no. Kogo my tu mamy? Panienska Brislenari i panienska Solanaria, dwie słynne na całe Har'Shamats psotnice.

— Och, wpadłyśmy — wyszeptała Solana do swojej towarzyszki.

— Przynajmniej przekonałyśmy się, że nowe zaklęcia działają jak powinny — odpowiedziała jej Brislen równie cicho.

— Również cieszę się, że wasza nauka magii postępuje tak szybko, ale nie usprawiedliwia to ich takiego nadużycia. Lecz nie martwcie się, zaraz wracacie do nauk, ale tym razem do nauk pacierza.

— Och nie! Znowu?! Tylko nie to! — jęknęła z protestem Solana.

— Nie możemy po prostu sprzątnąć korytarzy jak ostatnim razem? — wtórowała jej kompanka, ale Batdarios był nieubłagany.

— Nie ma mowy, drogie panie. Marsz do kaplicy!

Skazane nie próbowały się już dłużej targować i spuściwszy łby posłusznie ruszyły w ślad za wielkim białym smokiem.

Kaplica znajdowała się w górnej części legowiska. Była to nieduża sala w kształcie sfery o ścianach bogato inkrustowanych złotem, srebrem i szlachetnymi kamieniami. Przez kilka

okrągłych otworów ułożonych w jednej linii do pomieszczenia wpadało światło słoneczne tak, aby przez jak najdłuższą część dnia mogło oświetlać stojący pod ścianą posążek smoka wykonany ze złota i topazów. Obok niego znajdował się drugi posąg wykonany z kolei z obsydianu. Smocza magia w nim zawarta otaczała go złowieszczą, czerwoną aurą.

Przed posągami na środku kaplicy stał niewielki, drobno zbudowany smok o brązowej łusce. Był to Hyjramnos, smoczy kapłan. Kaplica była jego domem — opiekował się nią i sprawował w niej posługę. Spał w małym pomieszczeniu obok, a cała kaplica była jego skarbcem.

Wszystkie smoki były wprost zakochane w skarbach — cennych metalach i szlachetnych kamieniach. Większość z nich zastawiała swoje legowiska stertami złota, srebra i klejnotów, na których wylegiwała się godzinami, chłonąc ich urok. Hyjramnos jednak, posiadając, jak to on mówił — duszę artysty, postanowił zrobić z nimi coś więcej, coś, czym mógłby się pochwalić przed innymi. Udało mu się to. Wiele smoków przybywało tutaj, aby podziwiać jego dzieło. Niektórzy odwiedzali kaplicę jedynie w tym celu. Inni, by odbyć karę.

— Witaj, Hyjramnosie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Przyprowadziłem ci dwie małe panny, które powinny wymodlić przepuszczenie win.

— Bądź błogosławiony, lordzie Batdariosie — odpowiedział łagodnym głosem kapłan. — I wy też, moje panie. Wasze miejsca są jak zwykle przygotowane — Hyjramnos wskazał łbem na dwie kolorowe maty, akurat tak duże, żeby mały smok mógł na niej usiąść, leżące pomiędzy pomnikiem a trzecią, nieco większą od nich matą, należącą do kapłana. — Spodziewałem się wkrótce waszej wizyty, więc zawczasu wyjąłem je ze schowka.

— Cóż za zapobiegliwość — stwierdził lord, obserwując

z satysfakcją, jak nadąsane małodlatki wloką się w kierunku mat modlitewnych.

— Och, zapewniam cię lordzie, że tylko przezorność. Dziwiłem się już, dlaczego w tym tygodniu ani razu nie pojawiły się w moich skromnych progach. Tak, drogie panienki, odmodliły już tyle godzin! Pani Solanario, Brislenari! Proszę popatrzeć, kazałem obszyć wasze maty srebrną nicią. Zostałyście już honorowymi kapłankami. Cudownie, prawda?

— Chyba się trochę zapędziłeś, szanowny kapłanie. One tu są, aby odbywać karę.

— Ależ lordzie, czyż każda pokuta nas nie uświęca?

Solana była również sceptycznie nastawiona do kontrowersyjnej nagrody.

— Skoro tak, to czy nie powinnyśmy być już świętymi?

— Wyszeptała do Brislen, siadając na macie. Jej starsza przyjaciółka pokiwała głową przytakująco i odpowiedziała:

— Zobaczysz, za rok to do naszych podobizn będą się modlić wierni, a te tutaj trafią do schowka.

— Dostyc tych rozmów, bierzcie się do modłów! — ryknął Batdarios.

— Dokładnie, dziewczęta — przytaknął mu kapłan — poza błagalna, pieśń czterdziesta, dalej, bez ociągania, im szybciej zacniecie, tym szybciej skończycie i prędzej tu wróćcie — rzucił wyraźnie uradowany smok.

— Och! Znowu to samo — pomyślała Solana, podnosząc się na zadnie łapy.

W cywilizowanym smoczym społeczeństwie nie było miejsca na takie barbarzyństwa, jak kary cielesne. Takie techniki mogli stosować ludzie albo dzikie orki, ale nigdy smoki — one były ponad to.

Przynajmniej teoretycznie, bo zostało wymyślone coś

takiego jak modlitewna poza błagalna.

Wszyscy rodzice i opiekunowie stosowali tę karę w przypadku nieposłuszeństwa. Użytek znalazła nawet w wojsku wobec nieposłusznych żołnierzy. Nie była to jednak kara cielesna, tylko forma modlitwy. Kogo tam obchodzi fakt, że poza błagalna polega na staniu w pionie na tylnych łapach, z przednimi wzniesionymi w górę, pochyloną nisko głową i rozpostartymi szeroko skrzydłami, aby utrzymać równowagę? Lub to, że po kwadransie takiej modlitwy większość smoków nie rusza się nigdzie do końca dnia ze zmęczenia, ani połowę następnego przez zakwasy? Oczywiście nie Solana i Brislen — to już weteranki modłów, które wielokrotnie spędziły w ten sposób ponad dwa razy tyle czasu niż pozostałe młode smoki. Wnioskując z miny lorda Batdariosa zanosilo się, że tym razem mogą jednak pobić swój ostatni rekord.

W końcu udało im się stanąć w pionie i złapać równowagę. Teraz jeszcze tylko pieśń czterdziesta. Szybka i jednostajną inwokację rozpoczął Hyjramnos. Zaraz potem przyłączyły się do niego pokutujące. Kaplicę wypełniły słowa wypowiedane na jednym tchu, niknące nagle wraz z końcem wersu...

Skosztowawszy zdradliwego nektaru ziemskich nieprawości
I poznawszy prawdziwy, cierpki jego smak.
Teraz płacząc, szlochając i zgrzytając zębami,
Przychodzimy przed Wasze Czcigodne Oblicza...
Okryci hańbą, zgryzotą i wstydem przepełnieni,
Błagamy, Was, Prześwietni Wielcy Lordowie:
Możny, Alundiusie i Ciebie, Potężny Hararkasie...

Obsydianowo-czarny Hararkas i Złotołuski Alundius.
Dwa prastare smocze bóstwa. Stwórcy i opiekunowie najdo-

skonalszego ludu Orbis i porządku, jaki panuje w ich świecie. Alundius daje wszystkim smokom bogactwa i dobrobyt, a Hararkas zwycięstwo nad przeciwnikami. Przynajmniej według wierzących, a w tym temacie smocze społeczeństwo było podzielone.

Część z nich twierdzi, że nie może istnieć nic doskonalszego niż smok. Druga grupa sądzi natomiast, że tak wspaniały i dalece bardziej rozwinięty od innych gatunków jak smoki nie mógł powstać bez ingerencji boskich intencji i sił, które stworzyły go na swój obraz i podobieństwo. Ponieważ jednak żadna ze stron nie potrafiła podać argumentu, który absolutnie potwierdzałby którąkolwiek z teorii, spór ten pozostawał wciąż nierozwiązany, a system wierzeń poszczególnych smoków był ich indywidualnym wyborem, zazwyczaj niekwestionowanym i tolerowanym przez resztę społeczeństwa.

... Dajcie nam grzesznym zaznać cierpienia,
A nie zamykajcie nam Niebios Bram.
I przed słowem wzdargliwym sprawiedliwych zachowajcie
Piętno skazanych z czół naszych zmywając...

Solana była wierząca. Czuliła w jakiś sposób, który do końca nie potrafiła sprecyzować, że w tym świecie jest jednak coś więcej, coś ponad materię i magię. Naprawdę, kiedy się modliła, nawet przymuszona, tak jak tym razem, czuliła czyjąś obecność, która słuchała... Która ją obserwowała. I nie objawiało się to tylko bolącymi mięśniami. Była głęboko przekonana, że wszystko, co powierzy tej obecności, nie zostanie zapomniane.

Miała też swoje ulubione bóstwo — był nim Alundius. Zdawał się przystępniejszy i bliższy jej sercu. Hararkas był co prawda bóstwem chroniącym smoki przed nieprzyjaciółmi,

ale za każdym razem, gdy patrzyła w rubinowe oczy jego posągu, zdawało się jej, że patrzą na nią wygłodniałe. Wzdrygnęła się i tym razem. Niestety miała groźne bóstwo przed sobą. Brislen mniej marudziła przy zajmowaniu miejsc i pierwsza wybrała Alundisa.

Ona też była wierzącą i nawet myślała o kapłaństwie, ale porzuciła te plany, gdyż bardziej inspirowały ją badania magiczne, a nie mogłaby poświęcić się tym dwóm, jakże wymagającym drogom naraz.

... I przez wstyd nasz, nasze uniżenie,
Raz jeszcze błagamy, zaklinamy i prosimy
Dajcie nam win...

— Czy mogę przerwać?

Gdy modlący się odwrócili wzrok w stronę wejścia, zauważyli stojącego w nich Favillasa. Najwyraźniej już doszła do niego pogłoska o nowym figlu jego córki, lecz z pewnością nie dowiedział się tego od Batdariosa, który cały czas stał w wejściu do kaplicy, a teraz miał bardzo niepokojoną minę.

Czyżby jakiś przebłysk nadziei na skrócenie kary? Niestety z twarzy ojca Solany jak zwykle nic nie można było wyczytać. Był lekko uśmiechnięty, emanowała od niego pewność siebie i stoicki optymizm. Tego oblicza prawie nic nie mogło zmienić.

— Witaj i bądź błogosławiony, wielmożny lordzie. Czego potrzebujesz? — spytał kapłan na powitanie.

— O ile tylko to nie będzie problemem, to bardzo proszę o zwolnienie mojej córki z modlitw. Muszę jej przedstawić pewną bardzo ważną sprawę.

— Ależ oczywiście, milordzie. Znając jej zapał znajdzie czas,

aby odrobić to później — stwierdził ironicznie Hyiramnos.

— Bardzo dobrze, w takim razie pozwól ze mną, Solano. Ach, Brislen, ty tu zostajesz. Niestety nie mam możliwości, aby ci pomóc — oznajmił Favillas, odpowiadając na jej niemą, przekazaną błagającym wzrokiem prośbę.

Zawiedziona smoczyca wróciła do pozy błagalnej, jej towarzyszka natomiast szybko wstała i w kilku radosnych susach podbiegła do ojca. Para smoków minęła Batdariosa, który wyglądał na śmiertelnie obrażonego i udała się korytarem w głąb legowiska.

Solana starała się opanować swoją ciekawość, ale droga dłużyła się jej niemiłosiernie, a jej ojciec bynajmniej nie śpieszył się z wyjaśnieniami. W końcu nie mogąc już dłużej milczeć, zapytała:

— Tato, powiedz, dlaczego mnie wezwałeś. Zazwyczaj nie życzysz sobie, aby cokolwiek skracało moją karę.

— Hm? Jaką karę? — zaczął ironicznym tonem lord. — Ja po prostu dbam o moją kochaną, jedyną córkę jak o nic na świecie i nie chcę, żeby cokolwiek przeszkadzało jej w modlitwie, którą przecież odmawia z takim zacięciem.

— Tato! Przestań sobie ze mnie żartować! — zachnęła się Solana i lekko bodła ojca w bok, na co ten zareagował tylko chichotem.

Przeszli jeszcze tak kilkadziesiąt metrów, drocząc się ze sobą beztrąsko jak to mieli w zwyczaju. W końcu Favillas zatrzymał się niedaleko od skrzyżowania. Jeden z tuneli prowadził do sporej komnaty, z której słychać było głosy wielu rozmawiających smoków. Część z nich należała do stałych mieszkańców Har'Shamats, inni często mieli w zwyczaju stawiać się na Wielkie Igrzyska. Były jednakże też głosy, których Solana w ogóle nie rozpoznawała. Nie miała jednak okazji zajrzeć do środka, aby przekonać się, kim są owi

przybysze. Ojciec zatrzymał ją tutaj, przybliżył swój łeb do jej i powiedział głosem już zupełnie poważnym.

— Ale teraz pomówmy bez żartów. Wiesz, że bardzo mi na tobie zależy, prawda córeczko?

— Tak, wiem tato — odpowiedziała równie poważnie Solana.

— I wiesz też, że pragnę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze i wiem, co dla ciebie jest dobre? Czasami nawet lepiej niż ty sama?

— Och, czy ja wiem, czy tylko czasami? — odrzekła smoczyca wspominając choćby, że to dzięki ojcu, który wysłał ją na dodatkowy kurs magii, jest teraz jednym z najlepiej czarujących młodzików z północnych legowisk. Wtedy buntowała się przeciw temu, bo lekcje zajmowały wiele czasu, a efekty były z początku dość mizerne, ale teraz wśród dzieci do lat dwudziestu sześciu była niekwestionowanym mistrzem. Ustępowała co prawda Brislen, ale ona potrafiła stawić czoła w magicznym pojedynku nawet niektórym dorosłym.

— No, ale powiedz mi wreszcie, dlaczego mnie wezwałeś? To chyba najwyższy czas.

— Chcę ci kogoś przedstawić. Poczekaj tu, zaraz wrócę. I popraw włosy.

Lord odwrócił się i zniknął za zakrętem prowadzącym do komnaty wypełnionej rozmawiającymi. Solana natomiast odwróciła się do dużego, srebrnego, doskonale wypolerowanego lustra, które zostało magicznie wprawione w litą ścianę z pomarańczowego piaskowca. Krytycznie przyglądnęła się swojemu wizerunkowi. Nigdy tego specjalnie nie lubiła.

Solana uważała się za mało atrakcyjną i cały czas ta myśl ją dręczała. Według niej miała zbyt szeroki i kanciasty tułów. Mocno umięśnione łapy też się jej nie podobały. Głowę miała co prawda dość ładną, ale i tak mogłaby być trochę delikatniejsza. Nieraz z zazdrością myślała o Brislen, która

była uznawana za prawdziwy okaz smoczej piękności.

Miała oczywiście, jak na samicę przystało, szeroką klatkę piersiową i miednicę, ale jej kształty były o niebo delikatniejsze od Solany i to nie tylko korpus. Głowa Brislen powoli i łagodnie rozszerzała się aż do karku, tam wysmuklając się stopniowo, przechodziła w niedługą szyję, która z kolei szybko poszerzała się aż do tułowia. Jej nogi były długie, umięśnione, ale przy tym także smukłe. Ogon był dość krótki i mocny. Solana pocieszała się tym, że jej cięższa budowa daje jej przynajmniej przewagę podczas wykonywania kary w kaplicy, a duże i silne skrzydła pozwolą jej kiedyś sprawniej latać.

Jednak choć Solana cały czas narzekała na swój wygląd, to większość innych smoków wcale nie podzielała tej oceny. Tak naprawdę jej kształty wcale nie były takie złe — można by rzec, że były przeciętne, ale Solana posiadała pewien atut, dzięki któremu nie można było nazwać ją przeciętną.

Smoczycza przeczesła łapą grzywę długich, połyskujących loków. Wszystkie znane jej smoki podziwiały te piękne, naturalnie falowane i kręcone włosy, spływające po jej czole, karku i szyi kaskadą żywego ognia. Takich właśnie porównań doczekała się czupryna młodej smoczycy i nie bez powodu — te złoto-pomarańczowe włosy rzeczywiście wyglądały jakby płonęły, zwłaszcza w odpowiednim świetle.

Solana odrzuciła jeszcze za rogi jeden niesforny kosmyk, po raz ostatni przeczesła grzywę nad czołem i zadowolona z dość dobrego, jak na jej nieporadne starania efektu, odwróciła się w stronę korytarza, gdzie kilka sekund później znów pojawił się jej ojciec, już w towarzystwie zapowiedzianego gościa.

Okazał się nim być młody smok, o niebieskiej łusce, na grzbiecie i karku przechodzącej w granat. Miał duże skrzydła i grzebienie, jeden biegnący od czoła, przez kark i dalej środkiem szyi, drugi na końcu ogona, tworząc coś na kształt ry-

biej pletwy. Te imponującej wielkości jak na jego wzrost kołnierze i skrzydła kontrastowały jednak z drobnym tułowiem i kończynami, w efekcie wzbudzając rozbawienie zamiast podziwu.

Gdy tylko młody smok zauważył Solanę, natychmiast dumnie wypiął pierś i zadarł głowę do góry, starając się dodać sobie przynajmniej kilka centymetrów. Następnie postąpił w jej kierunku kilka kroków, pokłonił się teatralnie i rzekł z niewiarygodnym zapalem:

— Ach! Pani Solana! Tak miło panią w końcu poznać. Pani uroda znana mi była dotąd jedynie z opowiadań.

Solana lekko uśmiechnęła się z jednej strony mile podlechtana komplementem, z drugiej natomiast rozśmieszona tym, że dziecko jak on wygłasza takie opinie. Ile on może mieć lat? Z tonu głosu i wzrostu smoczyca wywnioskowała, że jest on od niej przynajmniej trzy lata młodszy.

— Bardzo mi miło — odpowiedziała uprzejmie — ale z kim mam przyjemność rozmawiać?

— Ja jestem... To znaczy mam na imię Etriktaos — zdawało się, że te kilka delikatnych, acz całkiem banalnych słów Solany podziałało na młodego smoka jak butelka wina na człowieka. Od razu zaczął mówić głośniejszym, szybciej i żarliwiej niż dotąd. — Zawsze do usług panienki!

— Dziękuję ci, Etriku, a służbę twoją przyjmuję — odpowiedziała smoczyca zgodnie z obyczajem. Ten mały smok zaczynał się jej całkiem podobać. Był taki zabawny! Zachowywał się jak nie wiadomo jak dorosły kawaler. Pod wpływem jej ostatnich słów tak się rozmarzył, że nie był już w stanie powiedzieć ani słowa więcej. Patrzył tylko na nią maślanym wzrokiem. Wyraźnie było widać, że Solana bardzo mu się podobała.

— Jest taki zabawny — pomyślała. — Czyżby mu się

wydawało, że takie dziecko jak on ma szansę u mnie? Oby tylko rzeczywistość nie zaboląa go zbyt bardzo. No cóż, będzie to musiał jakoś znieść...

Chwilowe milczenie przerwało chrząknięcie Favillasa. Małe smoki zwróciły na niego wzrok.

— Młody Etriktaosie, skoro poznałeś się już z moją córką, pozwól, że rozdzielę was na jakiś czas. Trzeba nam przygotować się do wieczornych uroczystości.

— Tak, lordzie, oczywiście. Sam też powinienem to zrobić. Tak więc pani, lordzie, do zobaczenia wieczorem — Etrik oddalił się z powrotem do sali wypełnionej gośćmi po drodze kłaniając się przesadnie nisko. Po tym, jak już zniknął za zakrętem Favillas przybliżył się nieco do swojej córki i pochylił nad nią głowę tak, że ich spojrzenia spotkały się.

— Co o nim sądzisz?

— Trochę śmieszny, zachowuje się jakby myślał, że jest już dorosły — odpowiedziała Solana tonem znawcy. — Ale w gruncie rzeczy to miłe dziecko.

— Dziecko, mówisz? — w głosie lorda dało się słyszeć coś w rodzaju lekkiego zaniepokojenia.

— No tak, bo ile on ma lat?

— Dwadzieścia.

— No właśnie!

— To tylko cztery lata mniej niż ty — lord nieznacznie podniósł głos dając tym samym znak, żeby mu nie przerywać. — Dlatego też myślę, że jest on odpowiednim kandydatem na twój towarzysz na dzisiejszym balu.

— Co takiego!?! — przeraziła się Solana — Ale... Ale to dzieciuch...

— Cicho! — uciął ostro lord. — Sama też nie jesteś żadną wielką panną, moja droga Solanario, więc nie masz na co narzekać.

— Ale dlaczego? — smoczyca jęknęła już zrezygnowanym głosem.

— Dlaczego? A czy wybrałaś już sobie jakiegoś smoka do towarzystwa?

— Nie.

— Czy sama nie mówiłaś, że to miłe dziecko?

— Tak, mówiłam.

— I na koniec, czy nie przyznałaś, że często sam wiem lepiej niż ty, co jest dla ciebie dobre, a co nie?

— Tak. Ale... — Solana zająknęła się. Chciała coś jeszcze dodać, ale nie udało jej się wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. Zrezygnowana pochyliła łeb.

— Tak więc, sama pokaż, że jesteś miłym dzieckiem. Nie chcę, żebyś przyniosła jemu i mnie hańbę. Nie martw się. Wszystko się ułoży. A teraz chodź. Trzeba cię uczesać i przyodziać na wieczór.

Solana pokiwała głową i ruszyła za ojcem do ich legowiska. W pewnym momencie minęli kaplicę, w której Brislen dalej odprawiała karę. Była już mocno zdyszana i miała zachrypnięty głos. Pomimo tego Solana po stokroć wolałaby być teraz w jej skórze niż swojej. Nazwać ją dzieckiem! Co za bezczelność! Jak ojciec mógł ją tak upokorzyć? Jest bez serca!

Ale pomimo tego, co myślała Solana, lord oczywiście nie chciał wydać jej, swojego jedyne dziecko na pośmiewisko ani upokorzyć.

— Wybacz mi, córko — myślał Favillas. — Wcale nie chciałem, żeby nasza rozmowa zakończyła się kłótnią. Wkrótce przekonasz się, że zrobiłem to jedynie dla twojego dobra. Nadszedł już czas, abyś zaczęła się rozglądać za partnerem, u boku którego spędzisz swoje życie. Żyjemy teraz w czasach dobrobytu, przez co większość młodego pokolenia jest dumna, leniwa lub samolubna. Ale Etriktaos jest inny — dobry, inteligentny i pracowity, pomimo nawet swojego

młodego wieku. Naprawdę dużo czasu zajęło mi znalezienie kogoś takiego...

W końcu doszli do ich mieszkania: kompleksu pięciu połączonych ze sobą jaskiń, znajdujących się niedaleko kaplicy, w górnej części legowiska. Pierwsza z nich, coś w rodzaju holu, była długa i dość wąska. Sufit był tutaj nie całkiem zasklepiony. Przez jego środek jak zygzakowata błyskawica ciągnęła się wyrwa, przez którą prześwitywało światło słoneczne. Z holu prowadziły przejścia do czterech jaskiń o zbliżonych rozmiarach i sferycznym kształcie. W każdej mogły zmieścić się cztery dorosłe smoki. Komnaty te służyły za sypialnię Favillasa, pokój gościnny, salon, oraz sypialnię Solany.

Smoki zatrzymały się na środku holu między sypialniami. Favillas spojrział na Solanę, która dalej wpatrywała się w podłogę i ani myślała się odezwać. Ojciec dobrze znał swoją córkę. Teraz jest śmiertelnie obrażona i nie ma sensu na razie starać się jej nic tłumaczyć. Przyjdzie na to czas później.

— Solanario idź do siebie i przygotuj się na wieczorne przyjęcie. Niech Rija zajmie się twoimi włosami, a ja każę Jornowi przyszykować najlepsze klejnoty — powiedział spokojnie Favillas.

— Tak, ojcze. Jak każesz — odpowiedziała napuszona Solana, po czym oddaliła się do swojego pokoju.

Jak każdy smok Solana miała swój własny kopczyk kosztowności. Był to skarbiec dosyć skromny w porównaniu do tego, co posiadał jej ojciec, ale jak na jej wiek ilość zgromadzonych tutaj precjozów była znaczna. Pochodziła przecież z zamożnej i szanowanej rodziny. To wszystko naturalnie należało się jej z racji urodzenia. Pod ścianą pokoju usypany był owal ze złotych płytek, odkształconych przez ciężar smoczy, która wylegiwała się na nich. Były one

obsypane dookoła otoczką z mniejszych, srebrnych listew. Kilkanaście srebrnych tarcz, dzwonek i blaszek wisiało też w równych odstępach na ścianach. Wpadające przez szczelinę w stropie słońce odbijało się od nich migotliwie.

Niedaleko od jej legowiska przy źródelku, które wylewało się ze ściany do skalnej niszy, siedziała niska, jasnowłosa ludzka kobieta, o obfitych kształtach. Była to Rija, jej osobista fryzjerka. Gdy tylko zobaczyła swoją panią wchodzącą do sali, natychmiast poderwała się na nogi, ukloniła, a następnie zaczęła przegrzebywać sakwy i pojemniki zawieszane przy pasie, na swojej służbowej brązowo-czerwonej tunice.

Gdy służka przygotowywała narzędzia, Solana ułożyła się na swoim legowisku. Zaraz potem smoczyca usypała ze srebra małą górkę i położyła na niej łeb. W tym czasie fryzjerka podeszła do niej z nożycami i szczotką w rękach i zaczęła krytycznym okiem przyglądać się jej płomienistym lokom.

— Wiesz Rio, myślałam, że ojciec nie może mnie wystawić na gorsze pośmiewisko niż ostatnim razem, gdy za karę musiałam usługiwać przy stole podczas obiadu, ale się pomyliłam — poskarżyła się smoczyca przechodząc na ludzki język.

Gdy w pobliżu nie było Brislen, Rija była jej ulubionym powiernikiem żalów. Nie potrafiła co prawda dać tak pomocnych rad jak jej smocza koleżanka, bo przecież nie znała się na smoczyczych sprawach, ale była przynajmniej wiernym i wytrwałym słuchaczem. Okazywała jej nie tylko należyty szacunek, ale i życzliwość.

— Cóż to za kara się znowu panience przydarzyła? — spytała cichutkim, lekko piszczącym głosikiem Rija.

— Po prostu nie do pomyslenia! Ojciec kazał mi pójść z jakimś małolatem na dzisiejszy oficjalny bal!

— Jak to? — zdziwiła się fryzjerka, a jej młodą, pucatą

twarz wykrzywił grymas dezorientacji. — Myślałam, że panienska nie miała jeszcze żadnego partnera na bal. Czy jeżeli ojciec wynajduje panience partnera w ostatniej chwili, to nie powinna była się cieszyć? Nie lepiej iść z kimś niż samemu?

— Nie! Nie rozumiesz! — rzuciła z wyrzutem Solana. — On jest poniżej mojej godności. To niedorostek, który na dodatek zachowuje się jak dojrzały kawaler na wydaniu. Stara się przynajmniej na takiego wyglądać. Myśli o sobie jakby wiadomo kim był.

— Ale to chyba dobrze, że jak dorosły! To na pewno lepiej niż gdyby miał się zachowywać jak dziecko, będąc już dorosłym, prawda?

— Może, ale to i tak niczego nie zmienia. On jest okropny.

— Wie, panienska? Ten jeden raz można z nim zatańczyć, a później znaleźć sobie kogoś innego.

— To nie takie proste, Rijo. Boję się, że ojciec chce mnie wydać za Etrika.

— Dlaczego tak panienska sądzi? — spytała znów zdziwiona kobieta. — Przecież bal to jeszcze nic wielkiego.

— Może tak ci się wydawać, ale my, smoki, mamy już takie zwyczaje. Bale, takie jak ten, są doskonałą okazją do zawierania bliskich znajomości od lat. A kiedy rodzice chcą wydać swoje dzieci, to one niemal nie mają prawa sprzeciwu. Gdy tylko dwa smoki zostają ze sobą powiązane przez innych, to po prostu nie ma możliwości, by zerwać ze sobą. Byłby to skandal — Solana westchnęła i posmutniała. — Takie już mamy zwyczaje.

Rija też zamilkła na chwilę i machinalnie rozczesywała włosy Solany dużym mosiężnym grzebieniem. W końcu spojrzała z żalem na swoją panią i przymusiła się do nieco sztucznego uśmiechu.

—To przynajmniej, żeby panienkę trochę pocieszyć, zro-

bię jej na ten wieczór naprawdę specjalną fryzurę. Jak ktoś się będzie śmiał, to na pewno nie z niej, co to, to nie! — zakończyła fryzjerka, akcentując swoją wypowiedź tupnięciem, na co smoczyca odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

— Dziękuję ci, Rijo. Na tobie zawsze mogę polegać.

Solana znów wyłożyła się wygodnie na swoim łóżu. Czowała, jak fryzjerka zgrabnymi ruchami rozczesuje jej włosy, układa je w pasma i związuje w drobne warkoczki. Zmęczenie, złość i żal szybko ją opuszczały. Ale żeby się całkiem odprężyć, potrzebowała jeszcze jednego. Smoczyca wciągnęła głęboko powietrze, rozwarła paszczę i nagle cała komnata napelniła się spokojną, ciepłą, ale i dźwięczną melodią. Dobywała się ona zewsząd — ze ścian, z podłoga. Wszystkie srebrne i złote przedmioty drgały lekko i podzwaniały w jej rytm, w tym łóżo Solany. Jej mięśnie rozluźniły się pod wpływem tego masażu, a rzewna, rozczulająca, niezemska melodia wprowadziła ją w istny błogostan.

Była to smocza pieśń, powód, dla którego smoki tak zachłannie pragną cennych metali. Ta niezwykła, hipnotycznie piękna melodia powstaje, gdy niesłyszalny normalnie dźwięk, który może wydawać smok odbije się od szlachetnego metalu. Sam drogocenny kruszec to jednak za mało. Potrzebny jest także rzemieślnik, który skomponuje melodie. Nie jest to łatwe zadanie, trzeba dobrać odpowiednie materiały, uformować je w określone kształty i ustawić tak, aby ze sobą współgrały. Nie bez znaczenia jest też kształt legowiska. Dlatego każda smocza pieśń jest, przynajmniej w niewielkim stopniu, inna. Legowisko Solany zostało zaprojektowane przez mistrzynię Tariminari — największy autorytet w tej dziedzinie i wykonane rękami najbieglejszych elfich rzemieślników. Solana widziała na własne oczy jak wiele ze swojego własnego skarbcza oddał ojciec, ale efekty tej transakcji były dla niej warte jego poświęcenia.

— Pani Solano — cichy głosik Riji przywrócił smoczycę do

rzeczywistości i przerwał pieśń. — Fryzura gotowa.

Solana wstała i przyjrzała się swojemu odbiciu w jednym ze srebrnych owali wiszących na ścianach. Uśmiechnęła się.

— Doskonale.

Sala balowa była największą jaskinią w legowisku. Jej wielkie rozmiary umożliwiały swobodne poruszanie się prawie pięćdziesięciu smokom, ale przy tej liczbie gości nawet w niej było ciasno.

Z sali można było wyjść na największy taras Har'Shamats, gdzie część smoków szukała dodatkowej przestrzeni. Sufit sali znajdował się na wysokości ośmiu metrów od podłogi. Sufit i podłoga były wygładzone i ozdobione precyzyjnymi rękami ludzkich kamieniarzy, podobnie jak pięć wielkich kamiennych kolumn podtrzymujących strop. Wokół najmaszywniejszej, położonej mniej więcej w środku sali, rozstawione były wysokie marmurowe postumenty służące smokom jako stoły. Na dzisiejszy wieczór sala była dodatkowo przystrojona. Zewsząd zwisały ozdobne łańcuchy i zawieszane na nich płyty z drogich metali z wprawionymi szlachetnymi kamieniami w najróżniejszych barwach, a spod sufitu spływały przyćmione magiczne światła, odbijając się w ich fasetach.

Olśniewający widok. Ilekroć Solana to oglądała, wrażenie zawsze pozostawało równie mocne. Choć może nie? Tym razem coś było nie tak. Coś! Wiedziała dokładnie, czym było to coś. Odczuwała to bardzo boleśnie, gdy spoglądała z głębi tunelu prowadzącego do sali balowej na zgromadzone wewnątrz pary — dostojne smoki z towarzyszącymi im olśniewającymi partnerkami. Ciągle myślała, jaki to będzie wstyd, gdy pokaże się tam z przydzielonym jej pisklakiem. Na szczęście jeszcze

się nie pojawił. Etykieta kazała, aby na oficjalnych przyjęciach tego typu goście przebywali w sali jeszcze przed wejściem gospodarzy. Towarzyszyć im powinien jedynie senior legowiska. Później w umówionej chwili zwraca on na siebie uwagę zgromadzonych i oficjalnie zapowiada wejście reszty gospodarzy wraz z towarzyszącymi im osobami spoza legowiska.

— Hej! Solano! Ach... Moje mięśnie...

W kierunku Solany wolno kuśtykała jej wierna przyjaciółka Brislen. Pysk smoczycy wykrzywił to grymas bólu, to znów przekorny uśmiezek.

— Och, Brislen. Strasznie wyglądasz! Ile Batdar kazał ci siedzieć przy pacierzach, po tym jak ja wyszłam?

— Lepiej o tym nie mówić. Aż sam stary Hyjram odmówił dalszej współpracy, bo dłużej nie mógł wytrzymać.

— Aż tak długo?! Nie do wiary!

— A jednak. Naprawdę strasznie się zdenerwował po tym, jak twój ojciec cię wyprowadził. Ty to masz szczęście.

— Cóż — Solana posmutniała — nie wiesz jeszcze wszystkiego.

— Wręcz przeciwnie. Darat mi o wszystkim opowiedział. Sam dowiedział się od twojego ojca. Doprawdy Solano, szczęście sprzyja ci niesamowicie.

Gdyby nie nagłe pojawienie się kolejnego znajomego smoka, Solana na pewno naprostowałaby pogląd swojej koleżanki na tak zwane szczęście, które ją spotkało. Ale co ona o tym może wiedzieć. Ona ma przecież swojego Daratriosa, a ten w odróżnieniu od Etrika jest już prawie dorosły.

Wysoki, szczupły smok o łusce koloru wiosennej trawy i jasno żółtym podbrzuszu zbliżył się do Brislen i pieszczotliwie polizał ją za uchem. Smoczyca błogo przymknęła oczy i odwdzięczyła się swojemu lubemu delikatnym liźnięciem

w kształtny podbródek.

Brislen trafiła na świetnego partnera. Chyba najlepszego w tym legowisku. Daratrios z jego długą, giętką szyją i ogniem oraz smukłymi łapami był bardzo przystojny. I jeszcze ta cudowna głowa, trochę przywodząca na myśl aligatora z dalekiego południa, ale o niebo delikatniejsza i szlachetniejsza, i z tym fantastycznym wysuniętym do przodu podbródkiem. A te grzebienie skórne koło uszu — drobne, ale z klasą, no i te niespotykane podwójne rogi. Solana miała podobne, w pewnym sensie — jej się po prostu rozdawały w połowie długości, a jemu naprawdę wyrastały znad uszu dwie pary rogów: jedne dłuższe, a zaraz pod nimi drugie, nieco krótsze. Do tego jest taki inteligentny, wygadany i dojrzały.

Był prawie dwa razy starszy od Brislen, ale za parędziesiąt lat to nie będzie miało zbyt wielkiego znaczenia. I jakby tego wszystkiego nie było dość, to jeszcze świetnie znał się na magii. To właśnie dzięki niemu Solana i Brislen w tak młodym wieku opanowały trudną sztukę rzucania zaklęć.

— Ach! Panienko Solanario!

W jednej chwili rozmyślenia Solany zostały przerwane. Odtąd miał się zacząć jej koszmar. Z głębi tunelu nadchodził właśnie jej przymusowy partner, Etriktaos.

— Witam panią po raz kolejny, to dla mnie... Och! Przepraszam, wygląda na to, że przeszkadzam — smok urwał nagle, gdy zauważył tkliwe przyglądających się na siebie nawzajem Brislen i Darata.

— Nic się nie stało, Etriku — odpowiedział mu starszy smok. — Nie przejmuj się nami, raczej uważaj na siebie. Nie chcesz przecież rozżłościć Solany.

— Lepiej od razu się nią zajmij, bo jak się zdenerwuje to gotowa jest wypróbować na tobie swój arsenał zaklęć, a jest

on niemały — dodała żartem Brislen.

— Ależ oczywiście, mój obowiązek względem tej damy to dla mnie przyjemność.

— Szkoda, że nie dla mnie — wyszeptła Solana do siebie.

— Mówiłaś coś, pani? — spytał przejęty Etrik.

— Och nie, nic takiego — odpowiedziała zmieszana smoczyca.

— Aha, musiałem się przesłyszeć. Właściwie nie pochwaliłem jeszcze pani wyszukanej fryzury. Naprawdę nie widziałem jeszcze tak pięknego zjawiska...

Och tak, dobrze, że zauważył. Rzeczywiście Rija przeszła dzisiaj samą siebie. Jej włosy zaplotła w warkocze i przyozdobiła wspaniałym złotym diadem wysadzonym granatami. Do tego Solana dobrała piękną, ciężką kolbę z tych samych materiałów. Wszystkie szlachetne smoki przychodziły na takie przyjęcia wystrojone w swoje najlepsze ozdoby. Nawet Etrik miał na przednich łapach przepięknie inkrustowane platynowe obręcze z jakimiś znakami ułożonymi z szafirów oraz podobną kolbę na piersi. Solana z zaskoczeniem stwierdziła, że podoba jej się dobór tych ozdób — jasny metal świetnie współgrał z chłodnym, błękitno-granatowym kolorem łusek Etrika, dodając mu wyniosłej powagi. Mimo tego, że jest dzieciuchem — przypomniawszy sobie w ostatniej chwili.

— Dziękuję, ci panie Etriktaosie, ale żeby zdobyć moje uznanie trzeba jeszcze czegoś więcej niż komplementów — powiedziała napsuszonym tonem, co wyraźnie zasmuciło jej adoratora. Smok zwinął swoje bujne grzebienie i jakby skulił się w sobie.

— Ależ, Solano! Co cię ugryzło? — wtrąciła Brislen. — Nie martw się Etriku, wiesz, to przez to napięcie przed oficjalnym balem. Solana jak dotąd nigdy nie występowała

z partnerem. To jej wielki dzień, tak jak i twój.

— Rozumiem. — Stwierdził młody smok i od razu rozpoznał się. — Niech się panienka nie martwi. Nie zamierzam być dla niej zawadą w tańcu, a potem będę jej godnie usługiwał.

Z głębi korytarza dały się słyszeć kroki i odgłosy rozmów. Zbliżał się czas wejścia gospodarzy i reszta par dołączyła do młodzików. W ciągu kilku chwil korytarz zappełnił się najróżniejszymi smokami. Wśród nich był i ojciec Solany, a wraz z nim smoczyca, o łuskach białych i połyskujących jak perły, kremowych, niedługich włosach oraz charakterystycznych rozdwojonych rogach...

— Mama! — Solana natychmiast wtuliła się w szyję białej smoczycy. Gdy podniosła wzrok, spotkała się z najpiękniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek okraszał smocze oblicze. Delikatne rysy i duże, łagodne, błękitne oczy nadawały lady Vansharran niezwykle subtelnego uroku. Krążyły legendy, że jej uśmiech mógł oczarować istotę nawet tak nieokrzesaną jak człowiek. Solana bardzo żałowała, że nie odziedziczyła tego po swojej matce.

— Witaj, kochana córko. Dawno się nie widziałyśmy.

— Tak, mammo. Będzie już ponad rok. Dobrze, że znalazłaś czas, aby nas nareszcie odwiedzić — Solana oderwała się od swojej matki i wielce zirytowana stwierdziła, że nieśmiało zbliża się do nich Etrik.

— Czy on zawsze tak będzie robić? — myślała zirytowana. — Skoro już muszę z nim przebywać, to przynajmniej niech nie przerywa mi rozmów z matką.

— Witaj, lordzie Favillasie, witaj, lady Vansharran — zaczął młody adorator drżącym głosem. — Pani mnie jeszcze nie zna, prawda? Pozwoli więc, pani, że się przedstawię. — Po tych słowach Etrik zamilkł i nerwowo przełykał ślinkę

jakby zapomniał co dalej powiedzieć.

— Ależ nie trzeba! — odpowiedziała smoczyca, lekko rozbawiona tremą rozmówcy. — Jesteś Etriktaos, syn wielmożnego Barbathosa, prawda? To ty będziesz dziś wieczór dotrzymywał towarzystwa mojej córce.

— Tak, pani! I to... To zaszczyt dla mnie poznać panią. Historie o pani wdzięku, choć nieprawdopodobne, zaiste, nie były przesadzone... — Nagle wzrok Etrika spoczął na swojej towarzyszce i młodzik pomyślał, że wychwalanie przy niej innej kobiety, choćby to była jej matka, może zostać odebrane jako ignorancja. Zaraz więc dodał — Ale oczywiście nie dorównuje urodzie pani Solany — i znów źle! Bo czy umniejszanie w jakikolwiek sposób urodzie matki swojej wybranki, może pomóc w zdobyciu jej serca? Zdezorientowane miny lorda Favillasa i lady Vansharran oraz nieprzyjemny grymas na twarzy samej Solany sugerowały, że raczej nie. Przytłoczony całą sytuacją Etrik nie zdołał wymyślić nic niż lepszego, więc tylko dodał — znaczy się, ja chciałem przez to powiedzieć, że teraz już wiem, po kim panienka Solana odziedziczyła urodę.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Etrik nerwowo rozglądał się po pozostałych smokach. W końcu ciszę przerwał złośliwy chichot Solany.

— Wygląda na to, Etriktaosie, że schlebianie dwóm kobietom naraz, to za dużo jak dla ciebie, prawda?

— To bardzo dobrze! — dopowiedziała jej matka o wiele przyjemniejszym tonem.

— Och, tak, teraz wiemy, że pan Etriktaos na pewno nikogo nie zdradzi, bo nie jest zdolny, aby adorować na boku jeszcze jakąś damę. No, no, córko, świetny partner ci się trafił bez dwóch zdań — Favillas obrócił w końcu całe zajście w żart.

Młody smok odetchnął z ulgą. Na szczęście jakoś udało mu się wyjść obronną łapą z tej kłopotliwej sytuacji. Oczywiście

ście wszystko to dzięki wyrozumiałości lorda Favillasa oraz lady Vansharran za co Etrik był im niezmiernie wdzięczny. Martwiło go jednak wciąż pochmurne oblicze Solany. Przecież to właśnie na niej zależało mu przede wszystkim! Musi coś wymyślić, żeby ją jakoś udobruchać.

Smoczyca miała powód do złości. Nie dość, że ten maluch zblądził się przed rodzicami, to ci jeszcze to zignorowali. Mogła przewidzieć, że ojciec tak się zachowa. On ze wszystkiego sobie żartuje, a zwłaszcza z niej. Przecież cała ta sytuacja to jeden wielki żart ze swojej córki. Ale matka?! Ona też się śmiała, a do tej pory były sobie tak bliskie, tak się świetnie rozumiały! Nawet przyjaciele jej nie rozumieją. Czy oni naprawdę myślą, że ten Etrik to świetny partner? Czy może tak jak ojciec bawią się i robią z niej widowisko? Solana poczuła się nagle bardzo samotna i opuszczona.

Z sali balowej napłynęły odgłosy muzyki. Był to sygnał, że czas na wejście gospodarzy. Zebrane smoki szybko ustawiły się w pary. Solana z najwyższym obrzydzeniem stanęła, jak kazał obyczaj, po lewej stronie Etrika, który z kolei zdawał się być teraz dumny jak nigdy dotąd. Ruszyli. Pochód stąpał powoli i z gracją. Na samym przedzie Favillas i Vansharran, za nimi kolejne pary lordów ze swoimi damami, a na końcu młodzież i dzieci, wśród których szli Solana i Etrik. Gdy pierwsze pary weszły do sali, goście zrobili im miejsce na środku komnaty, a dwaj smoczy heroldowie stojący przy wejściu zaczęli na przemian gromkimi głosami przedstawiać wchodzące pary.

— Lord generał Favillas z małżonką, lady Vansharran z Kad'Maer!

— Lord generał Kythmaros z towarzyszką, lady Silsharą z Kad'Silfara!

— Mistrz Akadius z małżonką, lady Onykarą!

— Lord ...

Korowód barwnych par posuwał się coraz dalej i zaczął powoli mieszać się ze zgromadzonymi w sali gośćmi. Starzy przyjaciele rozpoczynali entuzjastyczne rozmowy, czasem nawiązywały się nowe znajomości. W końcu na salę weszła młoda, krępa, czerwona smoczyca, oraz idący z nią w parze szczupły, błękitnołuski partner. Herold obwieścił:

— Lady Solanaria z towarzyszem, lordem Etriktaosem z Har'Mondnar!

Kilka głów odwróciło się w stronę nowo przybyłych, ale większość szybko straciła zainteresowanie i wróciła do swoich rozmów. W końcu, gdy już wszyscy gospodarze znaleźli się w sali, na środek wyszedł sam lord Batdarios.

— Proszę o uwagę! Wielmożni goście Har'Shamats! Witamy was w skromnych progach naszego ukochanego domu. Chciałem podziękować, że tak wielu z was zaszczyliło nas swoją obecnością. Szlachetni goście z Har'Mondnar, Kad'Silfara, Kad'Nordern, Kad'Maer, Har'Elvendar, oraz wszystkich innych legowisk, miast i twierdz są zawsze mile u nas widziani.

Po ostatnich słowach białego smoka rozległ się ogłuszający wiwat z dziesiątek smoczyczych gardeł. Gdy przebrzmiał, głos lorda znów wzniósł się nad zgromadzonymi.

— Jak zawsze w przededniu otwarcia Wielkich Igrzysk organizujemy uroczysty bal, aby uczcić naszych drogich gości. Bal w tym roku będzie dodatkowo uświetniony grą najlepszych elfickich muzyków z Har'Elvendar. Podziękujmy naszym gościom z tego niezwykłego legowiska za udostępnienie nam tak niecodziennego widowiska.

Kolejny raz salę balową wypełniły głośnie wiwaty. Na środek precyzyjnie się kilka smoków i nisko ukloniło reszcie zgromadzony, po czym najstarszy z nich przemówił.

— I my chcemy gorąco podziękować wspaniałomyślnym

gospodarzom z Har'Shamats. Gdyby nie ich gościnność, nie byłoby tu ani naszej orkiestry, ani nikogo z nas. Wiwat i dla nich!

Wiwatując, żaden ze smoków nie zawiesił wzroku na elfach dłużej niż na parę sekund. Jeszcze mniej uwagi poświęcano ludzkim służącym, których kilkunastu stało pochowanych po kątach, a jeszcze więcej czekało w cieniu pobliskich tuneli. Wydawało się jednak, że nie mieli zamiaru zgłaszać żadnych zażaleń. Zarówno ludzie, jak i elfy woleli jak najkrócej być obiektem zainteresowania smoków.

— Moi drodzy! Przyjaciele! — lord Batdarios raz jeszcze ściągnął na siebie uwagę pozostałych smoków. — Przepraszam, że znów wam przerywam, ale to naprawdę ostatni raz. Czas rozpocząć tańce!

Cztery elfickie grupy muzyków, po sześć osób każda, zaczęły grać, a smoki powoli ustawiały się w pary.

Solana stanęła na końcu długiego sznura smoczyc par. Obok niej stanął Etrik. Podobna kolumna ustawiła się z drugiej strony. Nie wszystkie smoki były skore do tańców — sporo rozsiadło się już na środku sali lub usunęło się na taras, aby nie przeszkadzać tańczącym. Mimo to obie kolumny były naprawdę długie, zwłaszcza jak na standardy człowieka. Młody Etrik rozwinął lewe skrzydło, na którym Solana niechętnie, ociągając się, położyła swoje. Z drugiej strony sali, na końcu przeciwległej kolumny ustawili się ze znacznie większym entuzjazmem Brislen i Darat.

Chwilę potem muzyka zrobiła się głośniejsza i pary ruszyły miarowym krokiem przed siebie. Melodia to wznosiła się, to opadała, a w jej rytm smoki stawiały kolejne, posuwiste kroki. Co trzeci, przy wtórze charakterystycznego, mocnego akcentu muzyki, był głębszy od pozostałych. Solana doskonale czuła się tańcząc, rozluźniało ją to prawie tak, jak smocza

pieśń. RAZ, dwa, trzy, RAZ, dwa, trzy... — powtarzała w myślach. Z półprzymkniętymi oczami posuwała się tanecznym krokiem na przód. Czuła się naprawdę świetnie — udało jej się doskonale zgrać z muzyką. Te elfy były naprawdę niesamowite, grały o niebo lepiej od ludzi.

Smoczyca na chwilę zawiesiła wzrok na jednej z grup muzyków. Mówiono, że choć jest to pomniejsza rasa, to są o wiele szlachetniejszej krwi niż ludzie. Ona jednak nie wiedziała, skąd takie opinie. Według niej nie różnili się wiele od ludzi — byli nieco niżsi i drobniejsi i mieli dziwnie długie i spiczaste uszy. No i jeszcze jedno: wszyscy bez wyjątku mieli jasnozłote i długie włosy.

Tymczasem obie grupy tańczących zaczęły zakręcać wzdłuż ścian sali i iść wprost na siebie. Wtedy pary z grupy, w której znajdowała się Solana, rozeszły się nieco i z rozwartych na całą szerokość skrzydeł utworzyły coś na kształt tunelu, pod którym miały prześlizgnąć się pary z drugiej grupy. Solana i Etrik zrobili niepełny, „niezadaszony” tunel, gdyż byli zbyt mali jeszcze, aby pod ich skrzydłami mogły przejść dorosłe smoki. W pełnym tunelu przepuścili i to z trudem ostatnią parę — Darata i Brislen. Reszta młodych smoków nie była zainteresowana tańcami. Stała gdzieś po kątach, przyglądając się tańczącym, rozmawiając bądź figlując.

Gdy tylko zielony ogon Daratriosa przeszedł przez tunel, Solana i jej partner wrócili do klasycznego ułożenia skrzydeł i znów przysunęli się do siebie. Nieświadomie smoczyca stanęła nieco bliżej Etrika niż na początku. Pary dalej okręzały salę. Solana stawiała kolejne kroki w rytm RAZ, dwa, trzy, RAZ, dwa, trzy...

Nagle uświadomiła sobie, że Etrik nie sprawia jej żadnego kłopotu. Był równie skupiony na tańcu, co ona, a na dodatek ich zbliżone rozmiary bardzo pomagały im zgrać się w kro-

kach i ruchu ciała. Do tej pory tańczyła z wyższymi od niej partnerami. Wtedy wydawało się jej, że to dobry pomysł, ale teraz nie mogła nie docenić zalet partnera o podobnym wzroście. Nie musi teraz stawiać przesadnie dużych kroków i nie gubi rytmu.

Posuwając się wzdłuż ścian sali balowej, smoki spotkały się po raz kolejny po jej przeciwległej stronie. Tym razem pod tunelem przejść miała grupa Solany. Lubiła zwłaszcza ten moment. Wokół niej przemykały kolorowe smocze łuski przybrane drogocennymi metalami i szlachetnymi klejnotami. Gdy zerknęła na bok, zauważyła rozradowaną, jak nigdy dotąd twarz Etrika. Przez chwilę zastanawiała się, co go aż tak uszczęśliwiło. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że sama uśmiecha się radośnie, a chwilę później doszło też do niej, jak blisko siebie się znajdują. Raptownie odskoczyła, na szczęście w chwili, gdy już wychylali się spod skrzydeł Darata i Brislen, więc nie wyglądało to szczególnie dziwnie i nie uderzyła przy tym żadnego ze smoków tworzących tunel.

Pary dalej okrążyły salę, aż w końcu spotkały się po raz kolejny, ale tym razem obie kolumny zakręciły do środka i zaczęły kroczyć po jej przekątnej. Pary z obu grup szły teraz obok siebie, a Etrikowi i Solanie towarzyszyli Brislen i Darat. W końcu tańczący zatrzymali się tak, że pierwsza czwórka stała zaraz przed stołami. Przez chwilę wykonywali kroki w miejscu, po czym czwórki rozeszły się na przemian na boki — pierwsza na lewo, druga na prawo, kolejna na lewo, następna na prawo i tak dalej. Gdy smoki przeszły tak kilkanaście kroków, ruszyły znów naprzód, przeszły na drugą połowę sali, tam ponownie przystanęły, a następnie dokonały szybkiej zmiany stron.

Wszystkie ruchy były wykonywane płynnie i z gracją, nie tylko przez Solanę i smoki z jej czwórki, ale również wszyst-

kich pozostałych tancerzy. Niezmiernie ją to cieszyło — chyba nie przeżyła jeszcze tak udanych tańców. Dotąd właściwie nie tańczyła na oficjalnych wielkich balach. Takie piękne wspomnienia na długo zostaną jej w pamięci.

Tymczasem taniec dobiegał końca. Czwórki oddaliły się od siebie, rozeszły po prawie całej sali balowej. Smoki ustawiły się w okrąg, w środku złożyły końcówki skrzydeł i zaczęły tańczyć w kółko. Wirowali tak powoli i miarowo, wciąż robiąc wyrok do rytmu.

W końcu, gdy muzyka zaczęła wyraźnie przybierać na sile i przyspieszać, czwórki rozłączyły się. Smoki znów w parach kontynuowały swój wirujący taniec. Solana prawie zdziwiła się na widok Etrika. Przez większość tańca nie myślała o nim. W każdym razie jakoś nie denerwował jej. Nie tak jak wcześniej. Nawet teraz bez żadnych oporów położyła swoje skrzydło na podanym jej skrzydle Etrika i z radością dokończyła taniec.

Gdy muzyka już umilkła, Etrik zgodnie z etykietą ukłonił się jej, dziękując za taniec, a ona w odpowiedzi lekko dygnęła. Następnie razem z resztą smoków udali się do suto zastawionego stołu.

— Doskonale tańczysz, pani — zagadnął młody kawaler, przepuszczając swoją towarzyszkę do stołu.

— Ty również — wymknęło się Solanie.

Młode smoki wygodnie usiadły na czymś w rodzaju wielkich, wzorzystych poduch. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Etrik z lekką tremą patrzył na Solanę. Ta unikając jego wzroku, uparcie patrzyła przed siebie. Wreszcie młodzik zebrał się na odwagę i spróbował wznowić rozmowę.

— Pani, powiedz mi, lady Vansharran, pani matka, dlaczego nie mieszka razem z panią i pani ojcem?

— Matka ma bardzo ważne stanowisko w Kad'Maer.

— Morskim legowisku? Jedynym, w którym żyją tylko smoki?

— Niezupełnie. Tam też są służący z innych ras, ale w porównaniu do innych legowisk jest ich wyraźnie mniej. Matka nie może opuszczać na długo miasta. Codziennie musi zajmować się ważnymi sprawami. Podobnie ojciec, z tym że w Har'Shamats.

— Dlaczego więc została pani pod opieką ojca, a nie matki? Lord Favillas to na pewno dobry i wyrozumiały rodzic, ale to chyba nie to samo, co matczyzna opieka?

— Nie jestem pewna. Rodzice przenieśli mnie tutaj jako kilkuletnie dziecko, bym nauczyła się latać. W Kad'Maer nie było ku temu warunków. Wszędzie ostre, strome skały i morze. Jak wiesz nauka podstaw latania zajmuje co najmniej cztery, pięć lat. Przez ten czas to miejsce stało się moim domem. Tęsknię za matką, ale tu mam i ojca i przyjaciół.

— Rozumiem. To musiało być dla ciebie trudne.

— Niedługo może będę latać na tyle dobrze, żeby sama odwiedzać matkę w legowisku.

— Jestem pewien, że tak będzie, wierzę w ciebie, panielko!

— Dziękuję, to miłe — odpowiedziała Solana, lecz jakby bez przekonania.

Młodzi znów zamilkli. Wokół nich panował rumor. Zdawało się, że wszyscy poza nimi są bardzo zaaferowani przyjęciem, ale im rozmowa jakoś się nie kleiła. Solana dziwnie się czuła. Nie chciała lubić Etrika, ale nie mogła znaleźć ku temu żadnego sensownego powodu. Może tylko to, jak czasami głupio zachowywał się, ale przecież nieumyślne. Musiała to sobie wszystko dokładnie przemyśleć. Solana podniosła się z siedziska, odwróciła i bez słowa zaczęła się oddalać. Zanim zdążyła jednak przejść choćby pięć metrów, obok niej pojawił się Etrik z wystraszoną miną.

— P...pani Solano? Gdzie pani idzie? Może przyda się pani towarzystwo?

— Nie, Etriku, dziękuję. Chcę zostać na chwilę sama.

— Ależ pani, dopiero zaczęła nam się w miarę kleić rozmowa. Możemy przecież omówić tyle łączących nas spraw! Ja... — zaczął nieśmiało smok — słyszałem, że jesteś świetną czarodziejką — w oczach dało się dostrzec rozbłysk nadziei na kontynuację rozmowy.

Młode smoki przeciskając się przez zgromadzonych, podeszły do jednej z kamiennych kolumn, gdzie akurat było nieco luźniej. Stała tutaj tylko para ludzkich służących z wielką tacą, zastawioną płatami egzotycznych mięs.

— Porozmawiamy o magii później — Solana przystanąła jakby namyślając się, a potem dodała, z chytrym półuśmiechem — ale teraz mogę pokazać ci jedną małą sztuczkę.

— Naprawdę?! — wykrzyknął uradowany Etrik.

— Patrz.

Smoczyca przymknęła oczy i pochyliła do przodu głowę. Widać było, że jest skupiona. Po chwili podniosła do góry jedną łapę i wykonując nią spiralny gest wyrecytowała: *Sis lu nors notes mes. Vos nors notes mes. Sis meras cutis specuras est. Rego imitas mund.* Skóra, łuska, włosy, a także cała biżuteria, którą miała na sobie przybrała kolor skały, a dół łap ozdobnych mosiężnych płyt. Chwilkę tak stała, po czym czmychnęła na drugą stronę kolumny. Zaskoczony niebieski smok zamrugał oczami. Gdy już doszło do niego, co się właśnie stało, czym prędzej skoczył za smoczycą. Za wolno — jej już tam nie było. Przynajmniej tak mu się wydawało na pierwszy rzut oka. Nagle kolumna trochę odkształciła się, a potem spory „głaz” oderwał się od niej i powodując małe zamieszanie wśród gości pognął przez salę balową. Etrik jak szalony rzucił się w pogoń.

Co chwila zauważał dziwacznie odkształcone podłóże, migające między gośćmi i służącymi. W pewnym momencie ukazało się naprawdę blisko, z boku. Smok wykonał gwałtowny i nieprzemyślany skok w stronę celu, przez co zahaczył o jednego z dorosłych gości. Etrik jakoś zdołał utrzymać się na nogach i nie przerwał biegu, niestety potrącony smok zachwiał się i podciął ogonem służącego niosącego misę z wodą. Misa upadła na podłogę, a jej zawartość utworzyła dużą i śliską kałużę, na której Etrik miał pecha stanąć. Rozpędzony smok wpadł w straszny poślizg i z zawrotną szybkością zbliżał się do ściany i elfa, który akurat tam przystanął, aby podziwiać bal. Zaskoczony muzyk zdążył tylko zrobić zropaczoną minę.

Łup! Około sto kilo żywej wagi uderzyło w ścianę. Na szczęście Etrik miał na tyle refleksu, aby zaprzeć się łapami o ścianę tak, że biedny elf nie doznał żadnych fizycznych szkód. Z twarzą bledszą niż alabaster, ciągle sztywno trzymając w jednej ręce skrzypce, a w drugiej smyczek, zrobił chwiejnie krok. Następnie jeszcze dwa. Potem zatoczył się, zakręcił piruet i gładko wylądował na ziemi. Smoki potrzebowały dobrych kilku sekund, żeby zrozumieć, że elf zemdłał, a nie wykonuje właśnie skomplikowaną figurę taneczną.

Dookoła zgromadziło się sporo smoków. Na szczęście najwięcej uwagi przyciągnęło omdlenie elfa, dlatego Etrik miał czas, aby usunąć się w jakieś odleglejsze miejsce. Nie lubił uciekać przed odpowiedzialnością, lecz tym razem postanowił postąpić mniej honorowo i oddalił się dyskretnie.

Niestety Solana była już na pewno daleko stąd. Jest jednak nadzieja, że ją odnajdzie. Potrzeba tylko odpowiednich środków.

— Och, pani Solano, to była naprawdę dobra sztuczka, ale ja też znam kilka — smok położył swoją przednią łapę na czole, skoncentrował się i wymówił — *Meras ocuri vide*

omnas mystoras.

Solana usłyszała jakiś huk, ale nie oglądała się za siebie. Wyślizgnęła się na taras. Była piękna gwieździsta noc, a księżyc świecił niemal w pełni. Salę balową jasno oświetlono, ale na tarasie nie było nawet jednej pochodni. Smoczyca rozejrzała się po okolicy, dalej pozostając pod wpływem jednego z jej ulubionych zaklęć, zwanego kameleonem. Zauważyła tu tylko jednego smoka. Stał przy balkonie, spoglądając w dół, na miasto. Solana chciała przyjrzeć mu się z bliższa, więc ostrożnie podeszła w jego stronę, wciąż nie zrzucając zaklęcia i wciąż trzymając się ściany.

Okazało się, że jest to samiec. Solana widziała go kilka razy — jeden z pierwszych gości, był chyba synem jednego z lordów generałów. Bardzo jej się podobał. Miał długą, smukłą głowę, o drapieźnym wyglądzie, dość grube rogi, które najpierw wyginały się do dołu, a później znów nieco do góry. Długi, choć niezbyt szeroki grzebień biegł od czoła do barków. Szyja, korpus i kończyny były niczego sobie. Dobrze umięśnione i kształtne. Prawdziwy okaz piękności, prawie jak Darat, choć był nieco niższy i bardziej krępy.

I jeszcze jedno: ten smok miał czerwoną łuskę, w odcieniu o ton ciemniejszym niż Solany. Przepadła za takim kolorem. Świetnie wyglądałoby razem. Solana myślała nawet, czy nie zaprosić go na bal, ale nie zdobyła się na odwagę. No i teraz ma za swoje.

Nagle obserwowany obrócił się w jej kierunku. Nie widział jej, ale bacznie lustrował wzrokiem otoczenie. Jakoś się domyślił, że tu jest.

— Kto tu jest?! Wyłaż i pokaż się! — zawarczał groźnym głosem.

Solana postanowiła wyjść z ukrycia. Zrzuciła zaklęcie i podeszła do niego bliżej. Gdy ten zobaczył, że ma do

czynienia z samicą, spuścił z tonu.

— Och, no proszę. Co tutaj robisz? Jesteś szlachcianką, prawda? Po co się zakradasz?

— Po co się zakradam? To dłuższa historia. Co tutaj robię? — smoczyca przez chwilę rozważała dwie opcje. Etrik nie był taki znowu zły, ale... — Szukam towarzystwa.

— O! To ciekawe — odpowiedział smok już zupełnie spokojnie, a nawet z wyraźnym zainteresowaniem w głosie. Solana zauważyła ponadto jakiś dziwny, łakomy błysk w jego bursztynowych oczach. — A co dokładnie pani przez to rozumie?

— Powiem bez ogródek, panie — zaczęła Solana, opierając się jakby od niechcienia o ścianę. — Bardzo doskwiera mi nuda, potrzebuję kogoś, żeby się zabawić.

Solana bała się, czy aby nie przesadziła z pewnością siebie, ale po minie rozmówcy stwierdziła, że zrobiła dobrze. Naprawdę zatkało go. Czyżby i on tak bardzo potrzebował dobrego towarzystwa do tańców i co ważniejsze — czyżby ona mu się podobała?

— D... Doskonale, miałem do teraz podobny problem — stwierdził z werwą czerwony smok — ale widzę, że aż się pani pali, pani...

— Solana.

— Pani Solano. Jestem Gyramnas. Ale starczy tylko Gyram. Tak więc kiedy się... spotkamy?

— Może u mnie, tak godzinę przed kolejnym bale?

— Tak późno? — zdziwił się lekko Gyram. — To dopiero pojutrze. Co ja biedny będę przez ten czas...

Smok nie zdołał dokończyć zdania. Wzniósł wzrok nad Solanę, a ona obróciła się, podążając za jego spojrzeniem.

— Etrik? Jak mnie znalazłeś?

— W sumie to nie było zbyt trudne — odpowiedział iry-

tująco spokojnym tonem. — Wyczucie magii.

No tak! To banalne, dziecinne zaklęcie! Dlaczego o tym nie pomyślała? Dlaczego tak długo utrzymywała kameleona? Dała się przez to zlokalizować. No ale skąd miała wiedzieć, że Etrik zna to zaklęcie? Jej samokrytykę przerwało wtrącenie się do rozmowy Gyrama.

— Przepraszam, pisklaku, lepiej stąd odejść rozmawiamy tu o poważnych sprawach.

— Och tak? — odpowiedział z buńczuczną miną Etrik. — Myślę, że to ty, kimkolwiek jesteś, powinienes odejść, natychmiast.

— Co takiego? Chcesz wiedzieć, kim jestem? — czerwony smok wyprostował się i rozłożył majestatycznie skrzydła. — Lord Gyramnas z Kad'Silfara, syn lorda generała Ragnanosa.

— Myślisz, że to robi na mnie wrażenie? — odpowiedział mu niebieski oponent. — Lord Etriktaos z Har'Mondnar, syn lorda seniora Barbathosa.

Gdy wydawało się, że smoki zaraz rzucą się na siebie, wkroczyła Solana rozdzielając ich.

— Dość! Koniec! — oznajmiła rozdrażniona. — Etriku, zaraz do ciebie dołączę, pozwól mi dokończyć rozmowę, dobrze?

— Dobrze — odpowiedział zrezygnowanym głosem smok, po czym powlókł się powoli w stronę sali balowej.

— Wygląda na to, że masz mały problem, pani? — spytał Gyram, gdy błękitny smok zniknął wewnątrz legowiska.

— Tak, można tak powiedzieć — odpowiedziała Solana dziwnie niepewnym głosem. — Mam nadzieję, że nasza umowa jest dalej aktualna?

— Nie masz się co o to martwić, Solano. Nie wycofuję się z danego słowa.

— Dziękuję, i do zobaczenia jutro, na igrzyskach.

— Do zobaczenia, pani — wymruczał szarmancko starszy smok.

Solana skłoniła się jeszcze na pożegnanie i szybkim krokiem oddaliła się z powrotem do legowiska. Gyram odprowadził ją wzrokiem. W połowie drogi smoczyca minęła się ze sporym, krępej budowy smokiem o matowej, niebieskiej łusce. Gdy tylko Gyram go zauważył, zaraz przeniósł na niego wzrok.

— Witaj Krilo! Co u ciebie?

— Ech, nic nowego — smok usadowił się obok swojego przyjaciela, po czym kontynuował. — Zauważyłem, że rozmawiałeś z córką Favillasa.

— Tak, umówiliśmy się — na pysku Gyrama wykwitł łapczywy półuśmiech.

— Umówiliście się, mówisz? Niby na co?

— Nie udawaj głupszego niż jesteś. A na co mogłem się umówić z tak interesującą jaszczurzą? — uśmiech Gyrama jeszcze się uwydatnił.

— Teraz to chyba ty wyszedłeś na głupka. Wiesz ile ona ma lat?

— Nie.

— Mniej niż trzydzieści!

— Naprawdę? Wygląda na starszą. To przez te obfite kształty. Dokładnie takie w jakich gustuję. Zresztą, Krilo, wiesz, że zdarzały mi się młodsze.

— Co ci przyszło w ogóle do głowy? Coś ci powiedziała?

— Że chce się zabawić i że spotkamy się pojutrze na godzinę przed balem.

— I co? Jeszcze nie rozumiesz? Umówiliście się na tańce! Gratulacje!

Uśmiech Gyramnasa szybko ustąpił miejsca wyrazowi

zakłopotania. Smok odwrócił głowę w stronę miasta i przez kilka chwil nie odzywał się.

— Jakoś to przeboleję, żeby tylko dostać się pod jej ogon.

— Jesteś chory, Gyram. Wiele ryzykujesz, wiesz?

— Chory? Nie ja zjadam śmierdzących ludzi z ziemi.

— Miałeś już o tym nie wspominać. Przez cały dzień bolał mnie żołądek, dostałem nauczkę, naprawdę.

— Tak, oczywiście. Nie martw się, Krilo, niedługo będzie pod dostatkiem pysznego i dobrze przyrządzonego ludzkiego mięsa.

Oba smoki opuściły łby i skupiły wzrok na piaszczystej arenie, gdzie dokonywano ostatnich przygotowań przed jutrzejszym uroczystym otwarciem Wielkich Igrzysk.

